

Zakończona teści A. Rojewski
Przepr. do digitalizacji B. Rojewski 2014.



ZNR-**AK**
Wilno

++
CHOŁYKO Stanisława

z d. **Milina Kieniez**

ps. "Sawa", "Basia"

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI —

^H CHODYKO Stanisław

z d. Milińskich

ps. "Sara" "Befie"

I/1. Relacja ✓

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora ✓

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora ✓

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ 2 ob. III/1 str. 16.

I. Relacja:

- Zyciorys Stanisława Chodyko - kserokopia,
rękopis relatoru, ufascynowany podpisem
Pnelewała Magdalena Maćkiewicz, k.d.s.l.



Szyrony

Stanisława Chodyko, córka Stanisława i Heleny ul. Piase-
wska nr. 14 Styczeń 1918 r. Dubinki k/Wilna.

Po ukończeniu szkoły parafialnej i Kł. Chodźtam do
dowodowej bielinarsko-krawieckiej w Wilnie. Przed con-
winięciem kursy O.P.K. i byłam etnonkiem Czerwonego Kr-
we w sierpniu 1939 r. byłam ciężko ranna w czasie bomba-
rowania Wilna przez hitlerowców.

Od 1/IX-1939 r. wstąpiłam w szeregi S.P. w grudniu
1939 r. do 2 WZ-2 od 1942 r. byłam w szeregu Dłwi Kraj-
ni. Lwo-środmieście pod nazwą 1 woyjska paucyony im. Bol-
shobago u 1 Det. 2 Komp. jako Tygnierka.

W 1940 r. wyjechałam na miesiąc w 1941 r. wrociłam z synem Stanisława.

Od marca 1943 r. byłam w oddziale sanitarnym
pod dowództwem rtm. Józefa Dąbrowskiego do dn. 17/VII-1943 r.
jako sanitariuszka i Tygnierka.

W uznaniu własnej działalności w oddzialech P.K. w czasie
zostałam odznaczona Br. Kawalerią Zasługi i Mieciami przez G.K. P.A.
Okręgu Wileńskiego - w Wotkorebitkach.

24/X-1944 r. zostałam aresztowana przez zingram przez
N.K.G.B w Wilnie i wywiezieni do Komisarsk a potem prze-
wieziona do Kojmy - Massachusetts kraj. Po 12 godzinach pobycia
w katorze powróciłam do kraju. Od 1957 r. pracuję
jako korekcyjna korekcyjna na Uniwersytecie Politechnicznym
w Warszawie na dachu pałacu Wilna k/Wilnie. W tym czasie
byłam w składzie komisji do spraw wojny i pokoju.

Stanisława Chodyko

I | 3. Inne materiały dokumentacyjne:

- Deklaracja uczestnictwa w Stowarz. Żołn. A.K.
Kserokopia, k. 1. s. 2.
- Stwierdzenie przebiegu służby w A.K. dot. stanowisk
Chodylko, podpisane przez por. rez. dowodzącego
Blinstrub i ppłk. dypl. w st. spocz. Juliana
Kulikowskiego. Kserokopia msp. (k. 1. s. 2.
(4-va, wrzesień 1970r.).



DEKLARACJA

Zgłaszam uczestnictwo w Stowarzyszeniu Żołnierzy Armii Krajowej i zobowiązuję się do przestrzegania Statutu Stowarzyszenia.

data... 22/XI-1989... Stanisława Chodyko S. Chodyko
/ imię i nazwisko / / podpis /

adres ul. Kołomyjski 20a 12
87-100 Toruń

telefon

ARKUSZ EWIDENCYJNY

1. Nazwisko i imię... CHODYKO STANISŁAWA
/ literami drukowanymi /

2. Dla mężatek nazwisko panięskie Milinkiewicz

3. Data i miejsce urodzenia 14-I-1917 w Dubinki K/Wilna

4. Imiona rodziców Stanisław - Helena

5. Pseudonimy Baska - Sawa

6. Data wstąpienia do :
a. SZP 1-X-1939
b. ZWZ-AK XII-39... III-1942
c. Organizacje scalone, podporządkowane, współdziałające
N&N... QNR

7. Przydział organizacyjny AK Okręg Wileński - Garnizon Wilna
Wzłociszka B. - 2 Rejon - 1 Pułk Panc. im. Bohaterów Chrobrego
Wilna Środowisko - 1 Komp. Tuzanaki - II pluton
/ np. okręg, inspektorat, obwód, rejon, placówka, oddział,
pluton, kompania, batalion, pułk, brygada, dywizja
lub inny rodzaj działalności /

8. Odznaczenia uzyskane w AK Bożena Krzyż Zasługi z Mieczami
Wł. Karabiseki K/Wilna... 17/VII-1944 w Woj. Karze Kredta Obrazu
Północne - Nischedwige AK... stawił się walczyć per MON: OK-6184/W. 2/VII-1966
/ nr leg. i data wystawienia, przez kogo nadane /

Krzyż Armii Krajowej Nr. 3976 24/V-1968 Londyn K. Dziński, Wachnowski

9. Inne odznaczenia *Krzyż Partyzancki przez M. R. P. Nr. 969-71-11*
16.10.1973

/ nr leg. i data wystawienia, przez kogo nadane /

10. Przebieg służby /czasokres, nazwa, funkcja/:

- a. do 1939r.
- b. SZP, ZWZ-AK - SZP - 1.8.1939r. - 2.11.1940. *Kuchnia sanitarna*
1942. AK. Tczewka. 1. Komp. Tczewka. 1. kompania B. Chlebca
do III - 1944. od III - 1944. do VI. 48. Oddz. Partyzancki "Najwyższy" m. Józefa Duxy
- c. P.S.Z. na Zachodzie *Wiskiego*

11. Karta Kombatanka /nr, data wystawienia, przez kogo wydana/

Nr. 020467 *1976r.* *2 B. O. N. D. w Toruniu*

12. Represjonowany / rodzaj / :

- a. 1.IX.1939r. - 15.I. 1945r. *Arrestowana przez NKGB w Kłucinie*
24.8.1944r. odzdana 10 lat i konfiskaty mienia
- b. Po 15.I. 1945r. *Kom. B.S.R. - 1. Kuch. - Kuchnia. po 10 latach więzienia*
wolne zesłanie - za przynależność do Armii Krajowej

Wiarygodność powyższych danych potwierdzam podpisem

Sto. Chlebca

KOMISJA WERYFIKACYJNA

Koło żołnierzy AK w Toru

/ Koła, Środowiska /

Potwierdza się dane z niniejszej deklaracji i posiadanie do uzyskania uprawnień członkowskich Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej

Toru 20.12.1989

/ miejscowość, data /

- | | | |
|-----------------|-----------------------|-------|
| Nazwisko i imię | 1. <i>J. Kuch.</i> | |
| pseudonim | 2. <i>L. Kudarski</i> | |
| | 3. <i>E. Kocujors</i> | |

Przyjęty w poczet członków zwyczajnych Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej

Toru 20.12.1989

/ nr ewidencyjny, miejscowość, data /

ZARZĄD OKREGU

- | | | |
|-----------------|-----------------------|-------|
| Nazwisko i imię | 1. <i>J. Kuch.</i> | |
| pseudonim | 2. <i>L. Kudarski</i> | |
| | 3. <i>E. Kocujors</i> | |

Stwierdzenie przebiegu służby w A.K.

Stwierdzamy niniejszym, iż Stanisława Chodyko, córka Stanisława i Heleny z d. Milińskiewicz, urodzona dnia 14 stycznia 1919 roku w miejscowości Dubinki, b.wojew.Wileńskie, zamieszkała obecnie w Toruniu, przy ulicy Konopnickiej 20 m. 1a, brała udział w akcji nierodległościowej w szeregach SZP-ZWZ-AK w Wilnie i na wileńszczyźnie, w okresie od dnia 1 października 1939 roku do dnia 17 lipca 1944 roku. Stanisława Chodyko używała pseudonimów: "Ewa" i "Lesia". Od dnia 1 października 1939 roku do marca 1944 roku była żołnierzem III plutonu 1 kompanii łączności 1 pułku panc. im.Bolesława Chrobrego /Zgrupowanie ZWZ, a potem AK Wilno - Śródmieście/. Ukończyła kurs szkolenia sanitarnego. Brała udział w gromadzeniu i magazynowaniu broni i amunicji w 2 Rejonie AK Wilno - Śródmieście /rejon działań 1 pułku im. B.Chrobrego/. Na terenie swojego miejsca zamieszkania, położonego na wzgórzach Belmontu, zorganizowała wraz ze swoim mężem d-cą plutonu 2 komp. I bat. 1 p.panc.im.B.Chrobrego Stefanem Chodyko - ps. "Grunwald", "Topór" i "Turoń" - Sekretyny, doskonale zakonspirowany magazyn broni i amunicji, który oddał wielkie usługi Oddziałom 1 p.im.B.Chrobrego, walczącym z Niemcami w bitwie o Wilno, w dniach 6 - 13 lipca 1944 roku. Stanisława Chodyko od marca 1944 roku do 17 lipca 1944 roku była łączniczką bojową i sanitariuszką Oddziału Partyzanckiego AK rtm Józefa Łuszyńskiego - ps. "Łączek". Wyróżniła się w tej służbie odwagą i ofiarnością. Odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczkami w rozkazie kmdta Obszaru Północno-Wschodniego AK, wydanym w miejscowości Wołkoraliszki koło Wilna, w dniu 17 lipca 1944 roku.

Autentyczność powyższych faktów stwierdzamy:

por.rez. ^{EXACTA} Longin Blinstrub	ppłk.dypl.w st.spocz.Julian Kulikowski pseud."Witold Drohomirski" i "Fyngraf"
pseud."Lech" i "Łoś"	b.szef sztabu i szef I Oddz. Ogólno-Org.Sztabu Komendy Samodzielnego Okręgu Wileńskiego AK
b.d-ca I batalionu 1 pułku panc.im.B.Chrobrego /Zgrupowanie AK Wilno-Śródm./	
dr leg.ZBOWID 1546 zam.Warszawa ul.danZajęcza 27 m. 23	

Przewodniczący Komisji Historyczno-
Weryfikacyjnej b. Obszaru Półn. Wsch.
AK

Nr leg. ZPOWID ~~211479~~ 14. 7. 1965
zam. Warszawa, Powsińska 24 m. 3

mjr w st. spec. Antoni Pietraszun
pseud. "Kotek"
b. oficer taktyczny 1 pułku panc.
im. Bolesława Chrobrego
/Zgrupowanie AK Wilno - Śródm./
członek Komisji Historyczno-Weryfik.
b. Obszaru Północno-Wschodniego AK
Nr leg. ZBOWID 13283
zam. Warszawa ul. Grójcka 26 m. 17

Autentyczność podpisów por. J. Kulickowskiego,
mjr. k. Pietraszuna i por. J. Glinstra zaświadczam.

Warszawa,

10. 08. 1970

Antoni Woźniak

Karta Komendant Nr. 090467

1976.

II. Materiały uzupełniające relację.

- Nagranie na taśmie magnetofonowej relatorii spisanej przez Barbarę Chodyko (4 minuty? relatorii.)
Taśmy 5, 6, 7, 8, 9. Msp - kserokopia. k. 32, s. 32.



1
Barbara Chodyko

Taśmy 5,6,7,8,9.

Pani Gołubiewa była Koreanką. Do pracy chodzimy na noc, polega ona na przywożeniu suszonej cegły do opalania. Nie ma światła elektrycznego. Te, które układały cegły w piecach (to trzeba było umieć, bardzo mało ludzi to potrafiło) palą ogniska, żeby było jaśniej. Dymu więcej niż ognia. My wagonkami po szynach dowozimy te cegły. Cechy ogromne, długie, zimne. Wszędzie zimno, i podwórko, i te cechy całkiem ciemne. Przymrozki, noc, śniegu jeszcze nie było. Brygadzistka nas pogania, co chwila goni na inną robotę. W cechu gdzie się opala cegły, wozi te wagonki z cegłami tam i z powrotem wypycha puste - nikt nie chce pracować, choć praca zdawałoby się, lekka. Brygadzistka mnie tam posyła. Gmach bardzo duży, z 20 poszłam tam, podsuwam te wagonki i w pewnym miejscu włosy mi się jeżą na głowie, strach mnie dziwny ogarnia. Są rzeczy niewytłumaczalne. Przeżyłam wojnę, noce, ementarze, wojsko, walki, bitwy, trupy, Bóg wie co - nigdy mi się to nie zdarzyło. Podnoszą mi się włosy na głowie. Jestem tam sama, bo robota nie taka ciężka. Wszystkie to "coś" odczuwały, żadna tam nie chciała pracować. (...) Okazało się potem, że tam był wypadek. Parę dni przed naszym przybyciem zabiło się tam 12 osób pracujących w piecu do wypalania cegły (...). Coś tam było źle ustawione, źle zrobione, zaważyło się i ludzi wszystkich potłukło. Może było kilku rannych. Nam dopiero później dziewczęta o tym opowiedziały, wtedy żadna nic nie wiedziała.

Ja wyszłam z otoczenia kulturalnego, a tu wprawdzie głód ten sam, ale inna praca, inne otoczenie. Parę dni tej roboty nocnej wystarczyło, culałam się jakbym trafiła w jakąś pomyjną jamę, dostałam jakiegoś wyjąłowania mózgu. Jama jedna Polka na kolonii, ludzi nie znam, prawie same Ukrainki. Nie rozumiem języka: jedna dziewczyna, Różia Bielińska mówi coś - nie mogę zrozumieć po jakiemu, choć

już rosyjski jako tako znam. Gdy ktoś z kimś rozmawiał, wyślałam: o czym ludzie mówią? Byłam już nienormalna. To przerzucenie strasznie nie przeżyłam.

Zaczynają nas rozdzielać po brygdach. Kilka osób zabierają do innego baraku: ja, parę Litwinek, reszta same Ukrainki. Było tam parę Białorusinek, właściwie Polek z Białorusi, zastraszonych, bały się swojej polskości, nie przyznawały się do niej. To były Maria Dawidowicz /stara/ i Wanda Ignatowicz, młoda dziewczyna. Trzymały się kupy, parę razy ze mną rozmawiały, ale właściwie byłam sama. Polityczne w tym obozie były oddzielone od bandytek zarządzeniem naczelnika.

Naczelnik kolonii przychodził do baraku i opowiadał nam, jak ich tam przywieźli. Nie było wtedy nawet ogrodzenia. Naznaczyli teren, powiedzieli: "Za te zaciosane drzewa nie wolno wam wychodzić. Tu są złoża gliny. Nogami będziecie mieszać tę glinę, cegły ręcznie formować i wypalać. A jak zbudujecie gmach, gdzie maszynę będzie można postawić - dany wam maszyny." I tam kilkaset osób położyło głowy. On nam pokazywał, gdzie był ich pierwszy barak, ziemianki, jakaś suszylka. (...) Ileż ludzie ci musieli się napracować, żeby zrobić tyle cegieł i to wybudować! Wybudowali. Dostali maszyny do formowania cegieł i wówczas wybudowano ^{byzycelna} wyszycielę (?), gdzie je formowano, połączoną krytym korytarzem z suszylnym cechem i cztery bloki do suszenia, na 40 tys. cegieł każdy. (...) Stalin zażądał, że tam ma być fabryka i była. Wszędzie tak to się zaczynało: od zera. W namiotach ludzie mieszkali, w rytych ziemiankach, nie było dróg, zabudowań. Kopalnię czy coś innego - wszystko zaczynało od zera. To była normalna procedura. Naczelnik był normalnym więźniem politycznym (KRD - kontrrewolucyjna działalność) i dookoła stało NKWD. Jak to wszystko zrobili, ^{to miało być rok} majstrami, zostali zwykłymi: chodzili bez konwoju, ale bez prawa wyjazdu. A ponieważ on był polityczny, dał nam, politycznym, oddzielny barak, zatrudniał politycznych tam, gdzie były maszyny, w cechu suszylnym itd.

Złodzieje, ci którzy porzucili pracę i inni kryminaliści jak zobaczyli naczelnika Cybulskiego, krzyczeli za nim : faszysta!

Ja byłam na ^{Suszeniu} ~~opalarni~~ cegieł. Praca była ciężka bo ciężka, ale już nie na 40 stopniowym mrozie. Przy gorącym piecu może wzrok popsułam troszkę, ale mrozu nie odczuwałam. Obóz i fabryka były za jednym drutem, ale do stołówki nas nie puszczano, za długo by to trwało. Obiad przywozili w kotkach do pracy. My, przy piecach i maszynach, jemy pierwsi, bo mamy odpowiedzialną robotę. Inni już jedzą zimniejsze, mniej odpoczną... Naczelnik zawsze starał się porozmawiać z nami. Nie wiem skąd pochodził, to był młody człowiek (...).

Wzięli mnie więc do cechu suszylnego do wykładania surówki do duszenia, do wybierania. Tam majstrem jest Kozak doński, zwany przez nas diadia Pietia. Gdy wchodził, widział co kto robi, czego nie robi, baliśmy się go jak szatana. Jak diadia Pietia gdzieś huknął albo kaszlnął gdzieś w kącie - wszyscy drżeli. Ale był sprawiedliwy, tak jak naczelnik kolonii. Przedtem, jak pracowałam jakiś czas na zakładowywaniu-wyładowywaniu (brudna praca, przygnębiająca, nie miałam z tymi ludźmi nic wspólnego, dzika samotność), Byłam sama. Jak przyjeżdżały wagony po cegłę na jakąś budowę, wszystkich ludzi zostawiają na całą noc do ładowania. (...) Biore po 6 cegieł ze sztabla na siebie, do wagonu ciągnę. Wszędzie ciemno, tylko ogrodzenie obozu oświetlone, śnieg. Między stosami cegieł przejścia, korytarze. Wysuwa się jakiś cień spośród tych cegieł i mówi do mnie: "Duraczka, noś po trzy cegły!" Patrzę, a to diadia Pietia. Nie do pojęcia! On mnie buntuje? Mówię, że chcę, żeby szybciej... A on: "Głupia jesteś! Inny bierze dwie cegły i tak samo chodzi." Pracowałam tam ze dwa miesiące i zrobił się ze mnie kompletny dochodiaga. I fizycznie i psychicznie całkiem się przewaliłam. Za kilka dni wyszliśmy na robotę, woła mnie diadia Pietia: "Będziesz palaczem na bloku, wszystko ci wytłumaczę". Zanim mnie skierował do tej pra-

cy, daż mi OP (Oddech preizwodstwiennyj?) na 10 dni chyba. Nie chodziłam do pracy, dostawałam lepsze jedzenie. Ukrainki zaraz podniosły krzyk, oburzały się, że to niesprawiedliwe: dopiero przyszła, dwa miesiące i już OP! Była taka Maryjka Krywko, wiecznie się rzucała. Ja idę na palacza, a ona też pracuje jako palacz! W czasie tego odpoczynku coś sobie czytałam, siedziałam w baraku, któraś z Rosjanek podchodzi do mnie, zaczęła rozmawiać: "Co się z wami dzieje? Jesteście jak nienormalna". Pytam, czy to się rzuca w oczy. Ona na to, że rzeczywiście. "Przyjechałaś, za ten czas straszna się zrobiłaś dochođiaga, siedzisz sama, z nikim nie rozmawiasz". Porozmawiałyśmy. Była to Polka z pochodzenia, siedziała za bandytyzm. Miała odmrożone nogi - kikuty, była nocną dyżurną.

W tym obozie na OP mógł kierować wolny majster, w innych obozach się z tym nie zetknęłam. Ale cegielnia to była ciężka sprawa. Przyjeżdżał etap młodych z Ukrainy, czy młodych zdrowych dziewcząt Tatarok i wystarczył jeden sezon od wiosny do jesieni, by każda była zgięta w hak i koniec - zabierano je jako półinwalidki.

Diadzia Pietia wytłumaczył mi wszystko. Na razie palę na małym ogniu. Bo jest grafik tego ognia na 40 tys. cegieł. Grzewanie musi być stopniowe, od zera do bardzo wysokiej temperatury. Pracują trzy zmiany, jest zawsze dyżurny dozorca żołnierz, przy nim zawsze zapisuje się temperaturę, żeby było jak należy, wg normy. Dostałam straszny blok, ostatni, tam ciemność, strach Boży. Elektryczność była, ale nie było żarówek. Każdy palacz miał żarówkę, ale chronił ją, bo jak trzeba było wyładowywać cegły, musiał mieć oświetlenie. Ale kradli, więc przeważnie żarówki chowali. Jest więc ciemno, mam 4 ogromne piece z cegły żeroodpornej na bloku. Trzeba hajcować, dużo palić. Na razie mam na małym ogniu, diadzia Pietia tłumaczy co i jak mam robić, przyjdzie od czasu do czasu. Przy pozostałych trzech piecach siedzą trzy Ukrainki. (Paliło się drobnym węglem, do tego dorzucało się trocin, żeby wytwarzał się ogień. Na wielki ogień

kładło się jeszcze bardzo duże drewno, niektóre kawały całe, większe porozbijane na połowę. Był to niesamowity ciężar i trzeba się było nauczyć rzucać to do pieca).

Na suszylnym palacze jak palą kradną deski, półki ruchome do suszenia. Desek brakuje, gdy składamy surówkę. Na drugiej stronie Litwinki pracują, mają kupę desek. Chodziły do nich nasze Ukrainki - nie dają. Mówię, że ja pójdę. Nie wierzyły, że coś przyniosę. "Tylko czekajcie na rogu bloku, żeby wziąć deski ode mnie, bo wezmę tyle ile potrafię wziąć". Przychodzę do Litwinek i proszę po litewsku: "Ponia paskoli ^{ma} ~~ma~~ pora lantu" (Proszę nam pożyczyć kilka desek) Zdebiła baba. Mówi, że skoro tak pięknie proszę, to proszę bardzo! Nie wiedziała, że umiem po litewsku. Wzięłam deski, dźwigam oburącz przed sobą, w rogu dziewczyny czekają, zabrały. "Jak to zrobić?" "Zaczarowałam baby, trzeba było podglądać!"

Ale nadal byłem całkiem osamotniony.

Dostałam swój obiekt, poskładałam rozrzucone cegły w kociołki, zmiotłam. Miałam takie blaszki na chleb. A było tam dużo komiaczek, tzw. liszaczek. Liszon - po rosyjsku pozbawiony prawa. Wędzne, małe, bardzo biedny-naród. Po rosyjsku rozmawiały, to było pokolenie (chodzi chyba o potomstwo) zesłańców chyba. Wielka nędza. Wagonkami podwoziły węgiel i trociny. Jak przywiozły wagonkę - dawałam im dwie blaszki, nigdy tych blaszek im nie żałowałam. Dostawały za nie więcej chleba. Przychodziły się ogrzać, zawsze chętnie rozmawiały, opowiadały. (...) "Jesteśmy pokoleniem ludzi, którzy zostali zesłani". Bardzo ogłupiony, przytłumiony, przydeptany naród. Była też kobieta, która przychodziła nas zmieniać i zawsze mówiła: "Dziewki, nie denerwujcie się, jaki by sznur nie był długi - zawsze koniec będzie".

Poukładałam więc te cegły nie wysuszone i żeby mi było weselej na duszy, biorę trociny i wysypuję nimi wszystkie dróżki, ten cały blok, tak że jest jasnożółto. Z okien pajęczyny pościierałam

miotką. Wchodzi diadia ^{Pietia} Titia. Mało rozmowny był, chodzi, patrzy po wszystkim i wzywa wszystkich palaczy na ten blok. Przychodzą. "Czyj to blok?" Myślę: coś chyba nie tak. Wiem, że wszyscy się go boją, że srogi, więc jak mysz spod miotki mówię, że to mój blok. A on zwraca się do Ukrainek: "O, ledwo zaczął człowiek pracować, a cegły wszystkie poukładane, zamieciono, porządek jest, a wy co?" Poszedł. One odeszły, ale ledwo wyszedł, zjawiają się: "A twoja mat, polska pani, porządków ci się zachciało!" (...) Masz ci los! Mam niby ten piec, mogę sobie siedzieć i myśleć, ciężko bo ciężko wśród tego podża (?), ale daję sobie radę, a tu zaczynają mnie podgryzać... Miałam ten OP, Marijka Krywko, herszt, przychodzi wciąż z paskiem. I w baraku mi dogrzewa i tu, a ja z nią na jednej zmianie! To było w dzień. Przychodzimy na nocną zmianę. Przemyśliłam, jak mi wyjść z tego bagna, jak te baby pognać. Biorę raz prześcieradło, doszywam do niego koszulę, tobie krzyżak na wysokim patyku. Ona ma na dużym ogniu blok pierwszy, musi tam hajcować, sypać a sypać. Żarówkę mają powykęcane, między dwoma piecami są skrzynki z antracytem (pali się jak proch), onawciąż musi dosypywać. Staję w ciemnościach między jednym a drugim piecem, zakrywam się prześcieradłem i trzymam koszulę na wysokim patyku. Ona podchodzi do skrzynki, podnosi oczy w górę : coś białego i straszego stoi! Rzuca łopatę, wrzeszczy gwałtu. Siedzi ich tam trójka, wrzeszcza wszystkie, ja zwijam manatki i na swój blok. Na ich stronę nawsuwałam wagoników ile wlezie, swój "korytarz" mam oczyszczony. Siedzę cichuteńko, one biegają, tłuką się o metalowe wagonki, wciągają mnie, krzyczą: "Sławka, duch jakiś się pokazał!" (...)Przyszła cała trójka. Biorę kawałek cegły, rzucam w stronę ich bloku, coś tam zastukało, zadudniło - nie pójdę mówię, boję się. "Na miłość Pana Boga, chodź z nami" - proszą. Wkręcają żarówkę, pokazują, gdzie duch stał. A one są niesamowicie zabobonne, głupie, tępe! Minęło kilka dni, zaczynają ze mną łaskawiej rozmawiać. Miałam też kamizelę z baraniej skóry, nałożyłam ja

węzną na wierzch. Siadam przy jej skrzynce w ciemnościach, ona reka do skrzyni, a tu kosmate futro! Kto może być kosmaty jak nie diabeł? Więc znów jazgot, muszę dążyć do nich bieć, szukamy (...). Mówię, że trzeba się modlić za zmarłych (wiemy, że poginęły tu dziewczęta), to nie żarty, może się pokazywać dusza pokutująca. I od czasu do czasu u siebie i ja podnoszę jazgot dla niepoznaki. I prosze! Maryjka dostaje paczkę i przychodzi do mnie z poczęstankiem. Wśród Ukrainek nie miałam odtąd większej przyjaciółki jak Maryjka Krywko. (...) A po obozie zaczęły krążyć opowieści o duchach.

Diadia Pietia nauczył nas, jak twarzą wyczuwać wilgoć w blokach. Nie było na to pomiaru, a on nas uczył, jak wyczuwać wilgotność przy otwieraniu drzwi ^{bloku} ~~cięża~~. Ten jego sposób, tajemnice, znany tylko Krywko i ja. Przedtem jeszcze jedna Rosjanka, ale ona wyszła na wolność. Diadia Pietia przyuczył nas, że temperatura na termometrze nie zawsze odpowiada temperaturze w bloku, wyczuwał to (przy zmianie bywał sam) i jak jest za dużo wilgoci, trzeba ją "spuszczać". Była taka góra, strych, tam luki. Trzeba było tam chodzić spuszczać wilgoć, to było przykazane.

Ale diadia Pietia wyjechał (...), zostajemy bez niego. Przychodzi do nas Białorusin Swietlicki. Głupi, tylko patrzy na termometr i drze mordę. A jak na dworze jest 50 stopni mrozu, to u nas (w bloku) mimo zabezpieczeń jest zimno - góra przepuszcza mróz, wilgoć jest. A jak zaczęłam pracować jako palacz, to zdarzyło się, że siedzę w swoim zasmolonym uniformie rozwalona na skrzynce węgla, a tu wchodzi jakiś pan w kurtce. Słyszałam, że lokomotywa zajechała, więc albo przywieźli drzewo, albo przyjechali po cegły. A tu on. Zatrzymał się przede mną: "Dzień dobry. Wy tu palaczem?" - "Tak". (...) Zaczął mnie wypytywać o wszystko. Jaka temperatura, jak się pali, jak się robi cegły itd. Ja mu tłumaczę, że to zależy od pory roku (...), od składników gliny - cały wykład. Mówię, jak się wypala, że najpierw trzyma się cegłę na dymnym ognisku, później -

zwiększa się stopniowo temperaturę itd. Podziękował i wyszedł. Po nośnej zmianie siedzę w domu na pryczy - patrzę - ten sam pan wchodzi do baraku. Pytam bab kto to jest. Jak to, to naczelnik kolonii, Cybulski. Wiedziałam o nim, ale przedtem go nie widziałam, gdzieś wyjeżdżał. Opowiadam, jak mnie egzaminował w ~~wykładku~~ przy bloku (...) I on mnie sobie zapamiętał.

Zostajemy więc z Maryjką we dwie i tylko my znamy tajemnice wilgotności. Swietlicki wrzeszczy o temperaturę, to temperaturę trzymamy, on nic nie wie o wilgoci. To była tajemnica diadi Piti i sam Cybulski o tym nie wiedział. Maryjka przychodzi do mnie i mówi, że nowe baby mają wielki ogień, ale wilgoci nie spuszcza. Ja na to: "Czy to twój interes? Cicho siedź, masz swój blok? I ja mam swój". Swietlicki lata: "temperatura!". Otwierają błąk nowych - wszystkie cegły jak makowiec popekane. Za tydzień drugi - to samo. Nie dość, że nie mają cegieł, to jeszcze gdzieś je muszą wywalić! Na psa robota, pożytku z tego nie ma. Jest zima, naja problem. Przychodzę na blok Maryjki. "No i jak?" - pyta. - "Jak oni nie wiedzą to i ty nie!". ~~Spuszczają jej i mój blok - sączy ścieki. Laborantki~~ biegają, nogi w tyłek zaganiają, waża, maża, miela, o mało językiem nie próbują - nie wiadomo co się dzieje.

Robi zebranie Cybulski. Siedzimy z Maryjką unazane na gebach, boimy się. Cybulski się rozgląda: "Chodyko do mnie". Siadam naprzeciw niego. - "Wiem, że ty się interesujesz pracą, dużo wiesz, powiedz, co to jest?" - "Nie wiem" - "Niemożliwe! Laborantki też nie wiedzą! Ja też nie wiem. Musimy dojść do tego. Teraz zrobimy remont błąków, mają je przerobić." Tak to więzień robił, póki był, potem niech się wali! (.....)

Żeby rury nie zamarzły, trzeba było kogoś na noc, żeby palił. (...) Cybulski proponował kilku osobom, ale się nie zgodziły, a że był więźniem, do karceru wsadzić nie mógł. (W końcu namawia mnie.

"O nie, wieczór wychodzić, opaź sobie przywozić, szlakę wywozić - nie!" A on: "Będzie rozkaz, szlakę ci wywioza, opaź przywioza, po-siedź tych osiem godzin w nocy, proszę cię!" (...) Zgodziłam się. Remontują blok, ja sobie na noc przychodzę. Jak nie ruszam koksu, to on się żarszy i kilka godzin ciepło trzyma. Ja się zawijam w wa-ciak, kładę na ciepłym piecu i śpię. Zarządzająca na kuchni była pani Lidia Gagółkina. Zaproponowała mi, żebym wracając z tego dyżu-ru przychodziła do kuchni pomagać trochę. "Najesz się". Przychodzę więc na kuchnię, coś pomogę, zjem, a później się kładę, bo znowu aż wieczór idę do roboty - i tak sobie żyję. Trwało to z miesiąc.

W grudniu (chyba) 43 roku z Moskwy przychodzi lista imienna na etap. Zabierali nas chyba 16 czy 18 osób, politycznych. Cybulski wysyła kogoś do Moskwy, że jeśli zabiorą nas, to i póź normy nie wykonana. "Na próżno. Ty już nic nie robimy, Cybulski nas do roboty nie goni (...). Przychodzi konwój i nas zabiera. Wszyscy: urzędni-czki, laborantki, Cybulski, stoją przy bramie, żegnają nas. (...) Miałam wcześniej taki pomysł, że jak wyremontują bloki, to pójde do Cybulskiego i w cztery oczy mu powiem, że jak mnie zrobi maj-strem nad cechem suszylnym, nie będzie miał ani jednej cegły do wy-rzucenia. Ale tajemnicy nie zdradziłam. Przecież to wszystko było dla NKWD.

W tym obozie pierwszy raz się spotkałam z babami lesbijskimi. Była taka jedna baba, bandytka ruska, która sobie wyszukiwała mło-de dziewczynki. Kiedyś przyszedł etap, przyjechała bardzo młoda Ży-dóweczka, młode dziecko, a ta stara jędza przygarneła ją do siebie, że niby pomoże i zaczęła się do niej dobierać. Ta nie wie, jak się bronić. A były u nas Żydówki laborantki, tu zaczynały wyrok. Jed-nak żyła do żyła ...ta mała podeszła do jednej z nich i poskarżyła się. Tanta poszła do Cybulskiego (byli kumplami od początku wyroku) i powiedziała mu o sprawie. Ten zamknął starą jędzę do izolatora

o chlebie i wodzie i trzymał ją tam ze dwadzieścia dni. Szczęściem było lato, bo byżby zdechła. Cybulski z majstrami nasmiewali się ze starej (...) "Oduczę ją dziewczki j....!" Jak ją wypuścił, miała zieloną twarz. Żydówkę wysłali gdzieś z tej kolonii. (...)

Chciałam jeszcze wrócić do pani Gokubiowej, Koreanki. Kiedyś polecono mi iść do "kaptiorce" (to taki skład odzieży, obuwia itp). Przyszłam, a tu ta skośnooka pani: "Chciałam bliżej się zapoznać, porozmawiać, wyrok mi się kończy, siedziałam długo. Chciałam się dowiedzieć, co się działo w te lata na świecie". I opowiedziała mi, że była współpracownicą Lenina, znała go osobiście, zakładała kołchozy, utrwalali komunę, potem ją Stalin posadził (...). Widać było że wierzyła, że coś dobrego robi. Miała bardzo dobre serce. Przed wyjściem na woność pełna była obaw: gdzie ją osiedlą? Co będzie robić? A że tam była bieda i nędza, wszystko jeszcze na kartki, starała się zrobić coś dla siebie na zapas. Co mogła? Mogła sobie ze starych szmat watowych uszyć jakiś materacyk, przygotować trochę mydła. Mydło, śmierdzącą ciapkę, dawali nam w beczkach. To mydło gotowała w misce, zgęszczała, suszyła w kulkach. Robiliśmy to obie. Zaproponowała mi, żebym po pracy przychodziła do jej pokoiku przy kaptiorce (tam spała, bo pilnowała tego), myła się tam (...). Dopóki była, przesiadywałam u niej, opowiadałam jej o wojnie, polskim wojsku i partyzantce, o tym, że walczyliśmy i jak nas posadzili. Ale ona to już dobrze rozumiała, bo sama kończyła wyrok chyba piętnastoletni. Bardzo była zniszczona, w obozie w czasie wojny było bardzo ciężko. W każdym razie dopóki była, miałam kąpiel, gdzie nikt mi nie szarpał nerwów, dobrze się tam czułam, choć była innej narodowości i innej mentalności. (...)

W tym obozie też były przysyłane z sierocińca dzieci z wyrokami po siedem-osiem lat. Na wakacje wysyłano je z sierocińców do kołchozów na prace w polu. (...) A że to było niedożywione - zrywały kolby kukurydzy i jady. A to im było policzone jako władztwo

i dostawały wyroki. Cała chmara była tych dzieci, wszystko to z ja-
zgotem biegło. Wśród nich zdarzały się bardzo spokojne dziewczęta,
milczące. Kiedy byłem palaczem w cechu syszylnym, przychodziły po-
grzać się. Po prostu zrywały się z roboty, nie chciały pracować.
Różnie z tym było: brygadziści chodzili, szukali ich, ganieli. Przy-
chodziła do mnie bardzo spokojna dziewczyna, Tania. Poznawiałam
z nią. O rodzinie nie wiedziała nic, zawsze chowana w sierocińcu,
włosy zawsze strzyżone maszynką nie na podobieństwo człowieka. Mó-
wiła, że bardzo źle było w sierocińcach, zawsze ich okradali, na
kronkę chleba marmolady na koniec noża (...). Często z nią rozmawia-
łam, chowałam w kącie przed brygadzistką, żeby sobie posiedziała, żal
mi było dziecka. A w dni, kiedy nas kąpali, dostawaliśmy chleb je-
norazowo : 600gram, cały kawałek z rana (normalnie 5 razy po 200g)
- wolny dzień. Przychodzę w taki dzień do stołówki, Tania siedzi,
zupę zajada, jakoś tak dziwnie wygląda, jakby zmartwiona, przed
nią ten chleb. "Chora jesteś, chleba nie jadasz?" - pytam. Nie jadła
chleba: chciała się nacieszyć tym dużym kawałkiem, bo nigdy w życiu
takiego ^{dużego kawałka} nie miała. To było szczęśliwe dzieciństwo! ~~W~~odziły, rzucały
a i w obozach Rosjanki miały czasem po kilkoro dzieci. Bo jak w
ciąży to nie chodzi na ciężką robotę, później karmi kilka miesięcy,
a później to dziecko zabierają a taka na nowo - i ten wyrok jakoś
łżej przejdzie! A dzieci? Dzieci państwo wychowa... "ak jakoś bez
serca. Była taka Zofia Tarochowa, troje urodziła i nie interesowała
się nimi.

Dla dzieci skazanych (z wyrokami) nie było osobnej zony, były
razem z nami. Więźniowie nie polityczni zmieniali się bardzo często
bo pracowali na dwie zmiany i w ciągu sezonu "dochodzili", niezdolne
już były do pracy, wywozili je od nas na jakieś rolne kolonie, tam
zawsze przynajmniej jakieś ziemniaki... Cześć na pewno umierała.
Nas, politycznych, Cybulski chronił. Jak ktoś był słaby, dostawał
wypoczynek, łżejszą robotę, był podtrzymywany.

Były u nas na kolonii dwie Cyganki, jedna normalna szesnastoletnie dziewczyna, druga młodsza, niedorozwinięte dziecko, miniaturowa (...) miała malusieńkie nóżki, nie mogła ich ciągnąć w ogromnych butach, które dostała. I tu jeszcze raz wróćę do diadi Pieti. Miał on dobre serce. Czasem przychodził do nas do baraku. Nigdy nie siadał na pryczach, zawsze taborecik mu stawiałyśmy. A on Ukrainkom każe zaśpiewać, te śpiewają, starają się jedna przez drugą (...). Cyganom każe tańczyć: większa ramionami trzęsie, nogami tupie, a to maleństwo buta nie może podnieść, bo nóżka jej z cholewki wyłazi, trzęsie się troszkę nie podnosząc butów. Diadia Pietia głaszcze ją po głowie i mówi: "Noż zarobiłaś na "dopełni^{eleny}" - tzn, że wpisze jej ponad 100 procent normy i dostanie ona kawałek chleba i łyżkę kaszy więcej... A w pracy wysyła ją jakies cegły pozbiierać, między rurami ogrzewczymi teren wyczyścić... Ona gdzieś wlezie i cały dzień sobie tam przesiedzi. Nie była zdolna do żadnej pracy ale wiedziała, że diadia wysyła ją tam po to właśnie. (...) W tym obozie było dozwolone przebywać najstrome w barakach. Diadia Pietia z Cybulskim żyli jak bracia (...) jeśli chodzi o sprawy bytowe wiele razem załatwiali i o więźniów dbali.

Zabrano nas z tego obozu w grudniu 43 roku, załadowano do wagonów. Króz był niesamowity. Jechaliśmy ze trzy tygodnie, bo to już trasa transsyberyjska, zatrzymywali pociąg na rozjazdach (...). W Nowosybirsku nas wykąпали, dali do desynfekcji parowej cała odzież (...) i ja dostałam mokre waciaki! Ostatnią mnie wepchnęli do wagonu i zaraz za mną zamknęli drzwi. Nikt mi miejsca nie ustąpił, bo każdy dbał o siebie. Szpary takie, że rękę można wysunąć. Na mnie wszystko zamarzło i przynajmniej z dziesięć godzin tak wytrzymałam. Strasznie zachrypłam, straciłam głos, byłam chora przez cały czas, aż do przyjazdu do Irkucka. ^{i w czasie pobytu na Kastywie} Podróż była ciężka. W wagonie musiał ktoś nocą dyżurować, obserwować, co inne robią. (...) Przychodzą, młotkiem walą po ścianach, dyżurna mówi swoje nazwisko, musi. Nikt

oczywiście nie chce dyżurować, każda się otula, chudzie^{oher} w waciaki, komu by się chciało innych obserwować. A była tam jedna Ukrainka nazwiskiem Czuma (...) Namówiłyśmy tę staruszkę, żeby mówiła, że ~~mi~~ cierpi na bezsenność, jest stara, żal jej młodych i noca zawsze pilnuje. Więc każdy, kto się obudzi, krzyczy: Czuma, co ich rozwścieczało. Kojarzyli to z "dżuma", konwojenci byli wściekli, że ich przezywany. Wreszcie przynieśli papiery i sprawdzali, czy jest na liście takie nazwisko. (...)

Niesamowicie dokuczają straszny mróz. W wagonie było ok. 60 osób. Leżało się na pryczach, leżało na podłodze. Na podłodze strasznie wiało. Kiedy nas przywieźli za Irkutk, śni mi się wysoka skarpa, a na niej baraki, obóz. Obudziłam się rano (...) i opisuję mój sen dziewczętom. I rzeczywiście. Wyładowali kilka wagonów (same kobiety) za Tajszetem pod Brackiem. Tajszecie nie zatrzymaliśmy się.

Koło tysiąca kobiet spędzili do obozu numer (chyba) 202. Baraki dość przyzwyczajone. Jak już mówiłam, chorowałam, nie mogłam mówić. A tu po barakach chodzi nasza kucharka, kierownik kuchni z cegielni, i poszukuje wszystkich dziewcząt z cegielni do pracy w kuchni! Takiej solidarności jak w obozie (niгда nie spotkałam). Jak się człowiek nie użalał, tylko myślał - można było wszystko załatwić! Ona nas zbiera wszystkie, w kuchni zatrudnia. Mówie, że jestem chora, jakże tu do kuchni. "Dam ci bardzo dobrą robotę. Nie ma oświetlenia, tylko wokół obozu. Mamy dużo jarzyn, przywieźli obłuczynią marchew. Będziesz wydrążyć marchew i robić z niej lampki olejne. Będziesz za elektryka." W obozie trzeba było zawsze samemu wykombinować co i jak masz robić. Jak człowiek nie wykombinował, to szedł w dół i koniec. (...) Byłam więc tym "elektrykiem", marchew przy okazji się jadło.

Na tej kolonii dowództwo garnizonu i naczelnicy to byli bardzo młodzi oficerowie, którzy ranni na froncie ze szpitali byli tu odsyłani. To było dla nich dobre miejsce, żeby zapomnieć, jak wygla-

da zachód. Tu pracowali. Takiego "naczalstwa" nigdzie więcej nie spotkałam. Sporo było więźniarek bab-frontowiczek, zwanych "praj-dochy". Same Rosjanki śpiewały: "Na pozycju dziewczka, a z pozycji mat; na pozycjiu chesnaja, a z pozycji blat". "zięły w swoje rece tych panów (...), stosunki były jak najlepsze. Miały wprawę. Pano-wie się starali. Dostawaliśmy piękną kapustę, marchew, podroby, wątroby, nerki płuca, podgardle - gotowało się normalne jedzenie i jeszcze każdy dostawał po kawałku mięsa. Człowiek najadł się ile wlażyło, tylko chleba była norma ta sama (co gdzie indziej). Ale kombinowało się jakoś, kawał wątroby zabierało ze sobą (do pracy). Po długiej podróży zaczęłyśmy szybko przychodzić do siebie. Trochę tłuszczu zawsze, oliwę kłakałam, gardło mi się zaczęło poprawiać. W baraku moją sąsiadką była jakaś pani, zaczęłam z nią rozmawiać. Okazało się, że Polka gdzieś z kresów wschodnich, bała się swojej polskości i bała się mówić po polsku. Wspomagałam ją, przynosiłam coś z kuchni, bo ona tam nie pracowała. Poprawiłam się trochę. Na kolonię tę trafiła też znowu pani Sienkiewicz. "Ówi raz do mnie: "Naczelnik pytał o stolarzy, pójdziemy pracować jako stolarze." Nie miałam zielonego pojęcia o tej robocie (...). "Głupia jesteś, w nic nie rozumiesz. Nie nauczyłaś się niczego przez tyle lat. Zoba-czysz, że potrafisz." Rzeczywiście, zgłaszałam się na stolarza. Dosta-jemy jakiś magazynek, jest tam parę toporów (...), szykujemy się do roboty. W tej kolonii byłam około 6 tygodni. To były czasy woj-skowe dla nas. Pewnego dnia po południu grzebiemy się w magazynku, coś tam robimy, zachód słońca, marzec - przybiegają dziewczęta. "Co wy tu robicie, cały obóz już na etap się zbiera!" Przychodzimy, dziewczęta mają już wszystko powiązane. Przyszedł jakiś konwój - gdzieś nas zabierają, wszystkie kobiety. Kryminalnych już nie było tam, listy imienne. Numerów jeszcze nie miałyśmy. Pchamy się wszy-stkie z tobołami, liczą - nie wiemy, co nas czeka. Gonia nas piecho-
ta

Ile kilometrów, nie wiem. Całą noc. Śnieg miejscami sięga dwóch-~~trzech~~ trzech metrów. Wśród nas szła jedna kobieta o kuli. Kto miał tobo-
ży, dźwigał sam. Śnieg był trochę udeptany, ale załamanywał się pod
nogami, zapadałyśmy się, spocone jak myszy. Żołnierze krzyczą, bo-
ją się nas pogubić. My też się tego boimy, każda trzyma się kupy
żeby gdzieś nie zostać, bo przecież wiadomo, że ratunku wtedy nie
ma żadnego.

Przypędzili nas do obozu przed świtem, zagnali do jednego bara-
ku. Żołnierze nieludzcy jacyś, gnali nas jak dzikie zwierzęta. Takie
zezwierżenie jak w tym obozie rzadko się zdarzało. Makabra. Zago-
nili nas w barak, tłok (...), blask śniegu przez okno. Słychać
głosy Ukrainek, nawołują się ("Do мене, do мене!"), sami swoi, za-
jmują miejsca na pryczach. Widzę, że przyjdzie nam postać, więc
daję swój worek Litwinkom, sama pcham się - "idźcie za mną". Na tle
okna widzę wysoką Ukrainkę, dziewczuchę, która nimi dyryguje. Mam
wolne ręce, ona mnie nie widzi, ja ją pięścią w pysk - odsunęła się
na pryczę w kąt, my zajęłyśmy następną. Za ciasno było, żeby leżeć,
ale przynajmniej siedziałyśmy. Ja sama w ciemny kąt, żeby się tej
Ukraince w oczy nie rzucać. Ona (...) rozgląda się (był to wódz,
prowodyrka), szuka, kto ją uderzył. Ukrainki mówiły do niej "Wóźda"
, do niej się zawsze zwracały z różnymi sprawami. (...)

Później ten barak otworzyli, zaczęli nas wypuszczać, brygadę
tworzyć. Litwinki mówią: dzięki tobie siedziałyśmy. W każdej sytu-
acji trzeba wiedzieć, co robić, mówię do nich, trzymać się w kilka
osób. Zaczynają więc nas rozdzielać, trafiam do innego baraku. Bara-
ki właśnie opuszczone, każą sprzątać. W jednym głowa ludzka obcięta
w drugą ręką, a w jednym straszne krwawe odbicie człowieka krzy-
żowanego na ścianie. Później nam dozorczy opowiadali (było dwóch lu-
dzkich dozorców, Tatarów, ojciec i syn), że przed nami byli w tym
obozie urki, przestępcy. Tylko chleb im wydawano przy wachcie, nic
im nie gotowali (...). Nic dziwnego, że traktowali nas jak zwierzę
ta, skoro wcześniej mieli do czynienia z takim bydłem, a jesz^{25e}

Pierwsza noc w tym obozie była jedną z najstraszniejszych jaką przeżyłam. Krzyczeli, tłukli kolbami - to było nie do zniesienia. W tym obozie był spokój. Tu ciemna noc, tylko blask śniegu w ciemności i ryk tej dziczy nad nami. (...) A ich język! Było normalne, ~~xx~~ przyjęte mówić "twoja mat". ~~xxxxxxx~~ A oni "Christa Boga mat"! - nawet jak kto nie wierzył, włosy dęba stawały na głowie.

W obozie wszystko pokamane: stoły porozbijane, kuchnia zdezelowana - nic nie było. Porozwalane prycze, ławki, taborety, kaźnia. Nie było nic. Kuchnia nieczynna, bo nie gotowali dla nich (...) No i na tej glinianej ścianie ślad Krzyża Pańskiego po ukrzyżowaniu. (...) Bandyci tak sami siebie...ktoś coś zawinił. Nic nie mieli do przegrania w karty, więc "pierwszego spotkanego musisz zarabac", lub coś takiego. I władze obozu miały do nas podobny stosunek jak do tych urków. Normalnie na wieży stał żołnierz z karabinem - tu na wieżach strażniczych, wszystkich czterech, ustawione karabiny maszynowe. Albo: już mam iść spać, a raptem znów wszystkie, co do jednej, wyganiają na zonę. Stajemy na głównej drodze (obozu), zaczynają nas liczyć. Jedna chora, druga się źle czuje - marzna wszystkim. Kiedyś spotykam tę inżynier Zoję Fiodorownę (...), rozmawiamy i okazuje się, że mamy podobne wrażenia: obu nam się zdaje, że wyganiają nas po to, aby uruchomić karabiny maszynowe... Strach, niepewność. Byli jak dzikie zwierzęta. A my ciche, spokojne, przybite.

Zjawia się znów u mnie Sienkiewicz: "Wszystko rozbite, stolarzy trzeba, pójdziemy." (...) Najpierw w stołówce trzeba ławki postawić, robić kopaty do mieszania w kotłach...Naczelnik, ruski muzyk, taki spod ^{Толбуко} ~~Толбуко~~, z gwiazdką lejtnanta (też pewnie na froncie daleko był), żona gruźliczka na wykończeniu i cała chmara dzieci. Bieda z nędzą nie lepsza niż w obozie. (...) Cieszył się, że stolarze są, to znaczy my. W kuchni powiedział, że obie mamy być nakarmione

tyle ile chcemy mamy jeść. Dla niego to był skarb mieć dwóch stolarzy w tak rozbitym obozie. Zaczynamy od kuchni. Kuchnię, przychodnię, szpitalik, pralnię, łaźnię - wszystko remontujemy. Sienkiewicz była w kołchozie wychowana i tam wszystko musiała robić. Chłopów przeważnie w kołchozach nie było (tylko do zapłodnienia bab!), baby same wszystko robiły. (...) Była wojna, a i przed wojną mężczyzn z kołchozów sadzali, byli na wagę złota. Mój ojciec był budowlańcem, domy z drzewa budował, coś miałam po nim zakodowane... (...) Zaczynamy się przymierzać. Najpierw zrobiliśmy samodzielnie stół w biurze, jakoś się udało. Potem jakieś tabożety, stołki, ławki. Rozrywają nas, karmią, do łaźni możesz pójść, umyć się ile wlezie, w pralni ci wypiorą, z przychodni witaminki albo wazelinki dostajemy - rozrywają nas, jesteśmy rozchwytywane. Szykują się do prac ziemnych przy drodze kolejowej, trzeba robić taczki. Dostajemy kółka i osie, resztę z drzewa trzeba ręcznie zrobić, taczki ustawić. Mając jedną taczkę na wzór same zaczynamy to robić. W lesie poszukujemy materiału (wybierałyśmy brzozę, bo najmniej łażliwa, choć ciężka w obróbce). Przywożą deski, mamy drzewo. Mieszkam na razie w baraku ogólnym, ale potem w baraku "pryduków". Zawsze co 40 osób to nie 200! Dniwalna z baraku pryduków, starsza pani, stawia wiadro, żeby nie trzeba było wychodzić (zima!), ja w zamian przynoszę drewno na opał, bo były ograniczenia. Całą wiosnę robimy te taczki. Trzeba było dobrać trochę ludzi do przyuczenia. Zgłosiło się parę Litwinek Łotyszek, Estonek. Ale były bez wielkiego pojęcia o drzewie i pracy przy nim. Do późnej ^{wiecznej} ~~wiecznej~~ tam pracowałyśmy.

Zbliża się lato. Robili tam rowy ochronne (przed powodzią), teren nierówny, rowy czasem na 3 metry głębokie. W okresie "gorącej pracy" wszystkich "pryduków" zabierają na ziemne roboty. Robi się gorąco, meszka, komary, puchniemy. Dochodzi do tego, że nie jemy tłuszczu, który nam dają w kuchni, tylko się nim smarujemy. Meszka gnie, kiedy siada na olej. Robiliśmy ogniska dymne przeciw komarom

ale znów meszka na nie nie reaguje. Puchły twarze. Wystarczył kawaleczek odkrytego ciała, a skóra już przeżarta. To była straszna ~~xxx~~ rzecz. Wysyłają więc "pryduzków". Idziemy, tworzą z nas nową brygadę. Baby mówią, że podobno będziemy w brygadzie Niemki, która dryl trzyma. Myślę sobie: tego tylko brakowało, żeby w bolszewickim obozie szkop mnie do roboty gonił! A były w obozie dwie panie starsze, inwalidki, pani Gołgowska (trochę znajoma, kuzynki mąż z nią się znał) i pani Olga, nauczycielka. (...) Jako inwalidki nie wychodziły na prace. A jedna z naszych pań pracowała w piekarni poza obozem i miała kontakt z wolnymi. Wolne prosiły o haftowanie różnych rzeczy i za to płaciły prowiantem (wędzone mięso reniferowe albo jeleń, świeże jarzyny, kawałki chleba). Te dwie panie proponują mi, żebym im w haftach pomagała. Dlaczego nie? Ale muszę iść na robotę! Myślę sobie: czekajcie! Coś wymyślę, żeby nie być u tego szkopa, później i tak będę stolarzem! Zawsze byłem podatna na zapalenie gardła itd, a tam była wieczna zmarzlina. Buty w lecie miałyśmy lekkie japońskie, podeszwa gumowa, płótno, zapinane na guziczki. Prócz tego spodnie, nakomarniki (żołnierze mieli specjalne siatki zielone, my kawałek białej surówki i gazy, która się po praniu rozkaziła, bardzo był człowiek umordowany). Wychodzę na robotę jeden dzień, zdejmuję na drugi te ciapki. Wystarczy, że postoję godzinę boso i już mam ~~XXXI~~ 37,8 gorączki. Idę więc do przychodni. W przychodni był felczer, Gruzin, porządny człowiek, siostrzyczki nasze wieśniarki. (...) Gruzin pyta, co mi jest, z litością. (...) Mówię, że kaszlę (udaję gruźlicę), że mi słabo, że się pocę. Daje mi trzy dni wolnego. Potem znów stawiam boscie nogi na zimnym gruncie i znowu mam temperaturę. Korzystam tak ze słabości (~~do nas wzięto~~) tego Gruzina. Z jego strony to była tylko litość nad młodością, nic więcej, ale wciąż mam nowe zwolnienia i całe lato haftuję ze staruchami. Zawsze mamy coś do zjedzenia, nabieram siłę i odpoczywam, na robotę chodzę tylko od

czasu do czasu. Zaczynają się jednak przymrozki. Do tej pory haftowałyśmy pod barakiem, teraz już tego robić nie można, bo za zimno. W baraku znowu ciemno, to żadna robota. Nici, igły, inne materiały dawały wolne, brało się też nici z bandaży). Szron. Wychodzę więc normalnie na robotę w brygadzie Friedy Pfeifer. Żołnierze tam się zmieniali dość często, aktualnie konwój był dość ludzki. Co 50 minut 10 minut "pierekurki". Pracowałyśmy wtedy na drodze, trzeba było równać z wasserwągą, podsypywać itd. Pierekurka. Siadamy na drewnianych podkładach, Frieda-brygadzistka siada przy mnie, zaczyna rozmawiać. Pyta, kto ja jestem. Polka. "Czemu nie chodziłaś do pracy?" - "Bo byłam chora, miałam przecież zwolnienie." - "A Ukrainki mówiły, że ty jesteś kapuś". - "Proszę sprawdzić w przychodni" - mówię. I tłumaczę jej, że nie byłam nigdy wożona, z nikim nie rozmawiałam itd. Że powinna się orientować, jak kombinują więźniowie. Ona odsiedziała już przecież 10 lat (Nienka z Powoźża), a wyroku miała 17 lat. A mówiło się: "Jeden dzień kantowki, god żizni" (...). Tak rozmawiałyśmy, zaczyna się ta Niemka do mnie przysiądać, mówi, że chciałyby mnie bliżej poznać, "bo mało jest ludzi, z którymi można rozmawiać, przeważnie to chochły, głupie wszystko". Proszę bardzo. Zaczynam z nią być na przyjacielskiej stopie. Chodzimy razem, pracujemy, zaprzyjaźniłyśmy się.

Po chyba dziesięćmiesięcznym pobycie w tym obozie przewożą nas do innego. Ten był 202, nowy chyba 150. Nie wiem, według czego to się liczyło, czy od Bracka. W samym Bracku nie byłam.

Jeszcze jedno: Jak zaczęłyśmy z ^{Fi}Heńką stolarzować, przed bramą obozową była szopa o trzech ścianach, od obozu otwarta. Tam coś robiłyśmy, to był magazyn kółek do taczek itp. A było tam tak, że jak nas gonili do pracy, a ktoś przechodził (wszystko jedno kto, nazylni bez konwoju), nam kazano się kłaść. Błoto, bagno - rozkaz "żożys", kłaść się i koniec. Nie było gadania. Nie wszystkie te idą zwyczaje były dla nas zrozumiałe.

Jesteśmy więc w tej szopie, idzie drogą oficer. Żołnierz przy bramie krzyczy do nas: "kożys". Oficer, lejtnant, wyzywa go od durniów. Sam siada przy nas i zaczyna rozmawiać. Był to jeden z oficerów z tej pierwszej kolonii! "Dziewczeta, mówi, jak nam was żal. Teraz mamy mężczyzn, to już nie to samo, co kobiety." - "Nam też żal, grażdanin" - mówimy. Powytrząsał kieszenie i oddał nam wszystko, co w nich miał: gazetki, zapalniczki, papierosy, machorkę jakąś. Potem gdzieś poszedł.

Kiedyś zachorowałam, dużo ludzi wtedy miało biegunkę. Nic nie mogliśmy jeść. Paliło się kawały brzoźowego drzewa i jadło się węgiel z niego, żadnych leków nie było. (...) Przywieźli jakiś nowy etap, zwały się te kobiety katorżniczkami i bardzo się od nas izolowały. Umieszczono je w osobnym baraku ~~ixnax~~. Baraki były na noc zamykane, czego przedtem nie było. W oknach kraty. Jak nas z wieczora zagnali to aż do rana dusiliśmy się w tych barakach. Pluskiew - aż gwizdało. Po ścianach żaziły, z sufitu spadały. Może ten nowy etap przywłókł biegunkę? W każdym razie dużo ludzi chorowało. Człowiek nie ma temperatury, ale jeść nie może, a już nie jest dobrze, kiedy więzień nie może jeść. Do roboty gonią - niwelowałyśmy jakiś grunt od kolei przy drodze. Kolej była wyżej, a dołem przynęła rzeczka na bagnistym terenie. Wnie wewnątrz piekło, ognisko paliło się we mnie - tak chciało mi się pić. Podchodzę do żołnierza (rzeczka z 500m od nas), mówię mu, że jestem chora, że mam pragnienie, chcę wody. On na to: "Wiesz, do rzeczki jest za daleko, ale dojdź do łąki, tam może będą jakieś jamy z wodą. Ale jak pójdziesz do rzeki, będę strzelać." Doszedłam do torfowiska, w łące małe jamki z wodą na dnie, ale wody mało, jest lato, powysychała. Ale ja muszę się napić, muszę! Kładę się więc na kępkach trawy, opieram ~~ryczki~~ na rękach (muszę pić ustami), patrzę w tę wodę i widzę w niej jakieś żyjątka cieniutkie, długie, ruchliwe... O Matko Najświętsza! Ale myślę sobie, że tak cierpieć nie mogę: jeśli mam

umrzeć - a może dostanę od tego tyfusu - to niech umrę nie spragniona. I z zamkniętymi oczami wysysam tę wodę aż do dna, aż czuję na ustach torf. Z jednej jamki, z drugiej... Podniosłam się na kolana i powoli peźnę pod górkę. Podłazłam wreszcie i dziękuję temu żołnierzowi, mówię, żeby mu Bóg zapłacił (płacz opowiadającej). Bardzo mi ulżyło. Przeszły bóle, przestałam chorować. Może sprawiły to jakieś składniki w tej wodzie? (...)

Katorżniczki, które przybyły, miały już na plecach numery, ogromne, czarną farbą namalowane. Musiały coś straszego przeżywać, bo w ogóle żadnego kontaktu z nami nie chciały nawiązywać. Były Polki wśród nich, były i "monaszk", zakonnice w czarnych kiecach, które nie pracują. Zwiążą im ręce, stawiają na szłońcu, zawieszają na szyi żelazne żony i taka kobieta stoi... Chcieli je w ten sposób zmusić do pracy. (...) Leszka i komary żrą je, nie mają jak się bronić przed nimi. My nie mamy prawa podejść, bo żołnierz opodal pilnaje. Samo patrzeć na te kobiety to była nakabra.

Jak przyszłyśmy do tego obozu, nie było tu żadnej ubikacji. Miejsca tylko deskami okryte i wszystko ciekło rynsztokami aż poza obóz. Zrobiłyśmy uczciwą ubikację, jamy, siedzenia. W gazetkach stolarzy wiecznie opisywano! Naczelnik zarządził, żeby więźniarki mniej maltretowano, wstawił się za nami. A że miał biedę w domu, dzieci małe, a te dzieci prawie nagie były - to nasze baby obczywały je, z różnych szmat sukienki, spodenki itp. Naczelnik prawie cały dzień kręcił się wokół nas otoczony chmurą dzieci własnych, baby je więc niańczyły. Dlatego nam okazywał tyle serca. W obozie wszystko doprowadziłyśmy do porządku. (I tam pojawiły się lesbijki. "pan" z papierosem, "pani" z kokardkami itp). (....)

(....)

Jest takie przysłowie, że w jednym miejscu to i kamień obrasta. Tu już się jakoś ułożyło, ciężko bo ciężko, ale człowiek już zna innych, pójdzie na kuchnię, coś zrobi, zreperuje jako

stolarz i zawsze każdy go pamięta (...), miałam już swoich bezinteresownych ludzi. A tu po jakimś czasie przewożą nas do innego obozu przeniesli nas wszystkie bliżej Bracka (...) też blisko drogi kolejowej (...). Z daleka szepnął jakiś strumień po kamieniach. To był 49 rok, jesień. Obóz budowany był przez Japończyków. Chodzili oni bez konwoju, na słowo honoru wychodzili i przychodzili. Czasem, jak żołnierz pozwolił, rozmawialiśmy z nimi. Bardzo słabo mówili po rosyjsku, przy spotkaniu zawsze pytali "jaki madam?". Tłumaczę, że "polnisch, polski". "Acha, ruski madam niedobry". Uczuli nas, pokazali nam zioła, które można jeść zamiast jarzyn. Np. była taka roślina z liśćmi jak konwalia o smaku czosnku, jakaś dzika cebula rosła. Na drodze trzeba było kuć duże kamienie, uczyli nas je rozbijać. Glina była tam tak tłusta, że nie schodziła z łopaty, przyklepiała się do niej i ciężko było ją zrzucić w górę. Poradzili nam, żeby rozpałcić ognisko i łopatę troszkę podgrzewać. Jak pierożki teraz glina z łopaty leciała (....). Przepiękne kolory miała ta glina, nawet materiały w niej farbowano.

Przerzucili nas do innego obozu. Tam komendantem garnizonu był Tatar, oficer, który z ruskimi nic wspólnego nie miał. Był to jedyny obóz, gdzie komendant na niedzielę nie dawał żołnierzom. Normalnie pracowaliśmy non stop, nie było żadnej przerwy. Lato - to każda brygada wieczorami się kąpała. A on mówił, że jego żołnierz ma w tygodniu jeden dzień odpoczynku i akurat w niedzielę to wypadło. I żadnego żołnierza nie daje. A w obozie żołnierze na wyszkach na zmiany pracują, a do wyjścia w teren w niedzielę nie ma żołnierzy. To oni nas wyganiali z baraku z rzeczami i z brygady do brygady przerzucali, mieszała każdego tygodnia. Było bardzo dużo ludzi, różni byli, a człowiek przecież żywał się np. z człokiem, z którym spał. A tu przerzucają z brygady do brygady, trefiam do różnych ludzi, jakichś "chochłów". Pracowaliśmy przy rozbijaniu kamieni i rowach ochronnych przy drodze. Trzeba było je

okładać darnią, którą mężczyźni gdzieś szykowali. Darni trzeba było układać i kołkami przybijać, żeby to zarastało. Konary, meszka, upał. Idę do Friedy i mówię: "Frieda, nie chcę być w innej brygadzie z motłochem, nie chciałabym iść z waszej brygady". - "To idź do naczelnika i powiedz, że chcesz być u mnie, bo u mnie dryl itd". Idę do naczelnika i tłumaczę mu, że chciałabym wrócić do brygady Friedy, bo u niej porządek (...), nie lubię bałaganu. No i wywojowałam to, wróciłam do jej brygady.

Przerzucili nas tu jakoś wiosną 50 roku, teraz już jesień i trzeba w posiołku garnizon opatrzyć, wyremontować. Frieda tworzy brygadę remontową, przeważnie Ukrainki - specjalistki od malowania, tynkowania gliną, bo one te swoje domy tak malują na Ukrainie. A ja jedna w brygadzie jestem jako stolarz. Dachy kryte gontem, w garnizonie duże gnachy, na strych się poszło, coś tam trzeba przed zimą podmocować, podłożyć, zmienić... Frieda jest tak spragniona opowiadania o cokolwiek: filmie, książce, przeżyciach - bo mało do zamknięta, mało co wiedziała i widziała. Obóz, ciężka praca i i nic więcej. Ja też od niej dużo skorzystałam (...), dużo jej wdzięczam, była opiekuńcza. Chciałabym ją jeszcze raz w życiu spotkać. Jeszcze na Kołymie ją spotykałam, później ja gdzieś samolotem zabrali, gdzie i po co - nie wiem. Ona sama nie była zorientowana.

Na strychach w garnizonie nie ma meszki, nie ma komarów - włą-
żę tam, nikt nie nie widzi. Dużo tam leżało skór wyprawionych. Kradłam je po kawałku, żeby sobie kaftan zrobić, bo mój z barana w drodze wzięli do desynfekcji i spalili. Później sobie ten kaftan uszyłam. Frieda zostawia swoje Ukrainki, przychodzi do mnie na górę, żeby jej coś opowiadać. Kładziemy się na skórach, opowiadam jej cokolwiek, od czasu do czasu leżąc stukam młotkiem, że niby robota idzie. Był to kawałek wypoczynku i takiego sam na sam, bo

przecież w baraku zawsze dużo ludzi, podsłuchiwalce - a tu odosobnienie. Każdy baraczek na zimę musiał być obstawiony deskami, obsypany ziemią, ocieplony (...). Robiłam umocnienia z desek, a dziewczęta obsypywały, żeby nie dmuchało.

Naczelnik zarządza, żeby dwa razy w roku robić porządki u ludzi wolnych (miejscowych nie było, zsylni w posiożku tylko). Komisja potem chodzi i sprawdza. Bo pluskiew, karakanów, robactwa, brudu u nich - aż gwizdże! Ludzie w małych klitkach mieszka, w nich się i gotuje i pierze, ciasno. Na majowe święto i na październikowe musi być sprzątnięte. (...) Malujemy więc, ja stukam młotkiem. Pracuje się u nich, a każda gospodyni stara się nam coś dać za to. I pyta: co w tantym domu dali? Więc my czasem i kłamujemy, że więcej niż rzeczywiście dali, bo ta stara się nie być gorsza: a to kawałek tłuszczu, a to trochę kaszy, maki (...). Po naszym powrocie z tej pracy nie robili nam rewizji, nie zabierali, choć dozorcynie wiedziały o wszystkim.

O około kilometra od obozu wagon podjeżdżał i przywozili nam prowiant: kaszę, mąkę, sól, cukier. Z wagonu kobiety ten prowiant wyładowywały i ciągnęły jak konie wozem drabiniastym do obozu, do magazynu. Stamtąd też coś niecoś podkładały. Worek rozprują, wezmą cukru czy kaszy. Ale one nie mogły nic przenieść. Więc kontakt z nami, pracującymi na posiożku, nam wolno przenieść. Umawiamy się: ktoś daje mi woreczek, ja przyniosę, a później dzielimy się po polowie. Korzystałyśmy z tego. Trzeba było tam kombinować. Jak człowiek nie ukradł, to nie przeżył. Podobnie było z pracą: leżeć i młotkiem stuknąć. (...)

Normy nam specjalnie nie wyznaczano w tym garnizonie. Komendant garnizonu miał romans z jedną naszą panią, bardzo świętą panią Stasią Dobrowolską (pracowała w szwalni za obozem), więc był do nas dobrze ustosunkowany i przyniósł oczy na nasze praktyki. Ta jesień to był dosyć dobry okres, ale zaraz zaczęły się mrozy, śniegi

(...) Bardzo tam było lice jedzenie, nie dawali nam mydła. Miałam zapas od Koreanki, dzięki niej miałam na parę lat zapas mydła, mogłam czasem ludziom dać. A oni drzewny popiół sypali w beczkę, zagotowywali to, wywar ten palił jak soda. Kiedyś tym umyłam głowę, to popaliłam włosy, musiałam je ogolić. Jedzenie było gorzej niż gdziekolwiek. Okazało się, że naczelnik z zarządzająca kuchnia więźniarką okradali nas. Nie wiedziałyśmy o tym.

Był jakiś okres, kiedy nie wysyłano nas na prace, bo były jakieś bunt w obozach męskich w okolicach Irkucka, między Tajszetem a Prackiem.. Był to rok 50-ty. W jakimś męskim obozie brygada obywatelska konwój, zdobyła broń, oswobodzili obóz i poszli oswobodzić następne. Powstanie było. Wszyscy żołnierze byli skierowani na obławy, nikt u nas nie chodził do pracy. Zabierali tylko raz dziennie z 200 osób (na ok. 1000) do przynoszenia drewna na opał do garnizonu, piekarni i obozu. Komendant, chyba poszedł z żołnierzami, jego zastępcą był lejtnant ^{Кузнецов} ~~Smirnow~~, sprytny maleńki człowieczek, bystry, który strasznie nienawidził Żydów. A były u nas takie dwie kluchy: Maja Brejman i Lusja Szechman (...) wyżarte to były, leniwe. Dostawały skądś paczki, mam wrażenie, że w jakiś sposób skądś spoza Rosji, spalone były baby. Brygadzystka jak od nich coś dostała, to w lesie wyznaczała je do palenia ogniska np, a nie do piłowania drzewa. One sobie łażą, znoszą gałązki. ^{Кузнецов} ~~Smirnow~~ miał na nie oko. Jak wychodziłyśmy po drzewo, pytał: "A gdzie Brejman i Szechman?" Te siedzą, nie wychodzą. Ten posyła dozorcę: maja iść. Prosimy: "Grażdanin, cholera z Żydami, prowadźcie nas!" - "Nie, musza iść". I pół godziny czekamy. W lesie każda musi wziąć kawał drzewa, większy, mniejszy, specjalnie nie przydzielają, jeśli widza, że w miarę naszych sił niesiemy. A Żydówki biorą patyczki (...) On ma tylko dwóch żołnierzy (wiadomo, że nikt nie ucieknie), czeka przy wyjściu z lasu, przepuszcza, macha ręką. Dla Mai Brejman i Lusi Szechman ma

przygotowane ogromne kawałki drzewa i kładzie na te Żydówy. One rzucają, mówią, że nie mogą nieść, to on żołnirzy puszcza z nami naprzód, sam z nimi zostaje, nakłada na nie to drzewo i tak z nimi idzie aż do obozu (śmiej). I to co dzień ta komedia była (...), goniż te Żydówy.

Już znów pracujemy (po buntach), wycinanie lasu. To odbywa się zimą (...). Piłowanie, wynoszenie pod tory kolejowe. Żonierze nie pozwalają nam przynieść do obozu ani kawałeczka drzewa. Jest ni by przydział opału, ale zawsze mało, bo przychodzi mokre po pas, śniegu dużo, rękawice i wszystko mokre (...). Piece z cegły.

Pewnego dnia przyjeżdża komisja z Moskwy. Prawdopodobnie zajął się tym Tatar, naczelnik garnizonu. Tam nie było komunikacji osobowej; doczepiano do do towarowego tzw. ciepłuszka, wagon opalany piecykiem na drzewo. Komisji było pięciu oficerów z Moskwy. Pojechali aż za obóz, śniegami przeszli koło obozu, na wachcie rozbroili (nieczytelne), przeszli się w nocy po wszystkich barakach. Ale najpierw poszli na kuchnię. W skardze było wszystko dokładnie opisane: co się u nas dzieje. Kazali nocnej kucharce przeprowadzić zarządzającą, obudzić ją. To była stara Rosjanka "Asylisa zwana "Prekrasną" (Później ~~Szimon~~ z Żydówkami goniż ją do lasu). Sprawdzili wszystkie papiery, kwity, porównali ze stanem magazynu. Dostała ileś tam jarzyn, a miała kupkę słomy i parę liści kapusty, były duże braki. Stwierdzili, że jest w spóźnie z naczelnikiem, który kradnie, a baba się na to zgadza (...). Potem poszli po wszystkich barakach (w jednym była kobieta chora na śpiączkę, która od kilku dni nie budziła się, nie wstawała). Trwało to do północy. Poszli potem do naczelnika kolonii (a był jeszcze naczelnik od pracy, naczelnik KW Cz - kultury, choć gazety nawet do palenia nie było, ale naczelnik od kultury był - naczelnik od preizwódstwa naczelnik reżima. Z miejsca ich aresztują. 4 naczelnik reżima nosił czapkę wygiętą jak gestapowcy, był to wściekły człowiek. Wyga-

niał nas przed snem w nocy do liczenia. Stałyśmy półrozebrane na mrozie. Liczyli, mylili się (może celowo), on krzyczał straszny^m głose (...). Czasem ktoś się odezwał przedrzeñniając go (oczywiście nikt nie zdradził), to nas trzymał godzinami, zamarzyliśmy do pół śmieci. Naczelnik obozu podlegał Tatarowi, a on nikomu nie podlegał. Ale to była spółka. Oprócz Tatara, który z nimi nie trzymał. Ten naczelnik reżimu wymyślał powody, żeby nas gonić na mroz. Gdy wchodził do baraku, natychmiast musiałyśmy wstać wszystkie, a przecież prycze piętrowe, zanim te baby, często bez spódnic, półrozebrane, przygotowane do snu, zejda - to musi trwać. A on od wejścia spieszy jak wściekły, żeby nas zastać jeszcze na pryczach. Niekiedy wtedy pód do wyganiania na mroz. Sadysta po prostu, metody niaz gestapo. Koła drzwi spały Litwinki, jedna miała szeroka spódnice. Kiedyś wpadł, ona akurat schodziła z góry w pośpiechu - zaplatak się głową w jej spódnice. Nie mógł się wyplatać, ona na jego głowie, on pod jej spódnicą. Zamarka z przerażenia, wstrzymałyśmy wszystkie oddech. Wydobyl się wreszcie, wyszedł. Ona o mało zawaku nie dostała i tylko "W Imię Ojca i Syna" - prosi wszystkie, żeby się modliły, bo myślała, że będą przykrości. Ale nic się nie stało, bał się widać ośmieszyć.

Aresztują więc wszystkich naczelników, zabierają ich. Przyjeżdża nowy, Rosjanin, ludzki oskowiek. Chodzi po barakach, rozmawia z nami, my opowiadamy: mówimy o tym, że przychodzą mokre, w barakach zimno, suszyłkon brak drzewa żeby nam wszystko wysuszyć, a żołnierze przy bramie zabierają nam drzewo, które idąc z pracy sobie przynosimy. Dziewki, które pracują przy garnizonie dostają je od żołnierzy, którzy nam zabierają. Polecił, żebyśmy naza jutrz z daleka krzyczały, jak żołnierze każe nam rzucać drzewo, które sobie niesiemy, że się zjawi. Więc wzięłyśmy wielkie kawały. "Rzucać drzewo!" - a baby na żołnierzy od matuszki, nie damy drzewa, zaczynają wołać naczelnika. Przychodzi: "Jakim prawem zabraniacie?" Li-

czyć kobiety, wpuszczają!" A dziewczki z garnizonu już z saneczkami stoją, czekają na to nasze drzewo. A on do żołnierzy: "Chcesz swoje baby zaopatrywać, to marsz do lasu po drzewo, masz czas!" Skończyło się. Jedzenie się poprawiło. Byliśmy zadowolone.

Latem dwa razy szliśmy do lasu. Raz nosić drzewo pod linię kolejową, idąc na obiad przynosimy na kuchnię drzewo, po obiedzie znów idziemy po drzewo, ale tylko raz. Pewnego razu w zimie pędza nas pod wieczór drugi raz do lasu. Popędził nas ryży Iwan, wredny Ukrainiec. Umówiliśmy się, że będziemy żazić po lesie, drzewa niby nie znajdując pod śniegiem. Zaczyna się szarówka, Iwan ma stracha, wygania nas z lasu, woła żeby wychodzić na drogę - po torach. Ciągniemy się wolno, na złość. Wóz, idziemy po torach, widać przed nami iskielki jakieś. A kilka dni wcześniej opatulony człowiek siedział po podkładach, nie słyszał lokomotywy, zabiło go. Iwan zobaczył iskielki, zdawało mu się, że jedzie parowóz. Straszny głośem krzyknął: "W stronę!". Rzuciliśmy się w jedną i drugą stronę, siedzimy w śniegu po pachy. A tu okazuje się, że idzie kilku oficerów z naczelnikiem garnizonu szukać nas, palą papierosy. Żołnierz się tłumaczy, dlaczego siedzimy w śniegu. + zaraz te, które umieją gadać, mówią, jak to nas drugi raz ganiają po drzewo, baby padają, nie mogą iść, gadają, że część z nas ma kurzą ślepotę. Ten człowiek, pełen litości, każe nam wolno iść i doprowadza nas do obozu. Baby, nawet te, które niosły drzewo, dawno je porzuciły. A Iwan, który nas pogonił, już z nami jako konwój nie chodził. Stał na wyszce, a baby idąc do ubikacji potem pokazywały mu tyłek.

Nowy naczelnik, nastrój nam się trochę poprawił, matka z miesiąc ledwo to trwało - przychodzą listy imienne z Moskwy, zabierają nas, nie wszystkie. Bardzo żałowałyśmy, że nas stamtąd zabierają ale nie było wyjścia. Odprowadzał nas aż do przesyłki na stację sam naczelnik garnizonu, Tatar. Wsadził nas w wagony, spytał, czy nie potrzebujemy wody, kazał przynieść, opiekował się nami jak dobry tatuś.

Wiedli nas chyba dobie do jakiejś przesyłki w lesie. Gonia nas, wi-
 dać dużo mężczyzn. Podchodzimy, słychać "baby ida!". Ale gdy zbli-
 zamy się do płotu, głosy te zaczynają cichnąć.. Bo z bliska my nie
 byliśmy baby, byliśmy jak pnie obrocnięte, nie podobne do ludzi,
 wszystkie jednakowe. Zdziwienie, cisza... (...) Przyglądają się
 nam: strach Boży! Gonia nas przez jakiś barak, w którym biała po-
 ściel, jakieś serwetki, firanecki, dziewczyny siedzą piękne, pod-
 makowane, białe kołnierzyki, kolorowe bluzeczki. Patrzą na nas z
 przerażeniem, my też nie możemy niczego zrozumieć. Zagonili nas
 przez ten barak do drugiego, już zapchanego, baraku. Ciśnота nie-
 samowita, dużo ludzi z tej linii z obozów. Ja z koleżankami dobiży-
 śmy się z trudem do "płatki", murku przy piecu, zajęliśmy go. Dwie
 siedziały, jedna leżała - na zmianę. Nazajutrz z rana dali nam jeść
 (lepiej niż w dawnym obozie). Nie wolno nam było wychodzić. Nie wie-
 my, gdzie nas wyślą. Pewnej nocy słyszyny chróbot na naszym murku.
 Patrzymy, a tam męskie łapy usuwają cegły z komina, robia dzuire!
 Włazi jeden, drugi, z 5 osób ~~włazło~~ wlazło. Byli niektórzy chyba ~~xx~~
 umówieni, bo weszli gdzieś w kąt, kilku się kręci (my już nie sie-
 dzimy, stoimy przy murku), siedzą wymazani. "Baby zaczęły się awan-
 turować. Paru wylazło, ale paru zostało. Ktoś chyba doniósł, bo
 przyszli żołnierze i strasznie ich zbili, stłukli niesamowicie.
 Dziewczyny, które widziałyśmy pierwszego dnia to były więźniarki
 które były w obsłudze obozu.) Strasznie było słuchać ciężkich odde-
 chów tych bitych mężczyzn, ich jęków. Byli to chyba Ukraińcy, bo
 w naszym przepelnionym baraku dużo Ukrainek było, musieli się jakoś
 z nimi dogadać, kiedy wychodziły na podwórko do ubikacji.

Zabrali nas stamtąd, wpakowali w wagony i wiadomo było, że
 w każdym wagonie jest kapuś. W naszym wagonie kapusiem była Ukraink
 takie nic, co to się tylko potrafi sprzedawać. (UWAGA: powtórzenie
 opowieści o dyżurowaniu nocnym, stukaniu złotkiem i nazwisku Czuma)

30

Lubiłyśmy zawsze dokuczać konwojowi. Trzeba wiedzieć, że stosunek żołnierzy, którzy nas prowadzili do pracy w zwykłych obozach, był inny, lepszy niż po przyjeździe pod Brack. Tutaj już potrafili kłaskać nas do błota, jak im się ktoś nie podobał, wiązali, meszka i konary gryzą (...powt), krzyczeli na nas, gonili, popędzali itd. Chyba to był dobrany specjalny kontyngent, nastawiony przeciwko nam. Na wyszkać stał tu już nie żołnierz z karabinem, lecz z karabinem maszynowym. Konwojowi wszędzie i zawsze robiłyśmy na złość.

Wieźli nas na Bajkał, Czita, Ulan-Ude i *Kocumodok* nad Amurem. Na Amurze jeszcze nie było mostu, przewożono nas na promach w wagonach. Bardzo wczesna wiosna, ale tu jeszcze szalone mrozy, rd 50. (...) Stoimy długo, nasz pociąg miał ze 30 wagonów. Nie wiemy, co xi się dzieje, boimy się, okazuje się, że nas promem po kilka wagonów przeprawiają na drugą stronę Amuru. Amur tam jest bardzo szeroki, strachlaże wszystkie siedziny, boimy się, że z tego promu możemy pójść na dno. A im cięższy jest żywot, tym bardziej ludzie chcą żyć. Tam samobójstwa zdarzały się wśród inteligencji rosyjskiej, ale większość ich chyba wśród mężczyzn, jakichś oficerów, inżynierów, takich, co byli najpierw na stanowiskach, a potem - obóz. Oni dobrze znali ten swój ustrój i wiedzieli, co ich czeka. Tęć zdarzały się samobójstwa, także wśród kobiet, ale to nie było częste. Na ogół przecie ludzie chcieli żyć.

Kiedy nas przewieźli przez Amur, jechaliśmy przez jakieś przełęczce. Można było widzieć na skałach wysoko jakieś wykute daty, nazwiska - ja tego nie widziałam, nie miałam miejsca przy oknie.

Przywieźli nas do miejscowości Buchta-Tanina na północny wschód od Nkadywostoku. Tam już była wczesna wiosna, ryzsztokami woda pływała. Kiedy nas wyładowali, spragnieni ludzie (nie każdy ma na tyle siły woli, żeby się powstrzymać) pili z tych ryzsztoków wodę. Później strasznie dużo ludzi tam chorowało na czerwonkę i jakiś tyfus. (...) Kiedy nas z transportu goniono do obozu, tubylcy

(ci, którzy tam mieszkali: Rosjanie, nie Rosjanie, czort wie kto) rzucali na nas błotem i czymkolwiek, co mieli pod ręką, obrzucali nas też wyzwiskami, wyzywali od faszystów, wrogów narodu, Bóg wie czego. Było to bardzo przykre: człowiek był wymęczony po tej drodze, spragniony, głodny i tu hołota idzie w szmatach śnirdząca, a oni tak do nas nastawieni - zlecenie mają, czy co?

Z/aganiają nas do obozu-osiedla. Baraki nowiuteńkie, a tak podobne jeden do drugiego, że błądziły potem baby. Trzeba było dobrze zapamiętać, gdzie wejść, żeby się nie powylić (...).

Bardzo dużo ludzi, jakiś trochę politycznych, ale większość dzieci wychowanych w sierocińcach. Wszystko to nie wyrosnięte, bieda-da-nędza, jakdzikie zwierzęta. Nie ukradł taki to był głodny, zabić człowieka to dla niego nic, żadnego grzechu, żadnego wstydu. Dzieci taka chodzi. I lesbijki (bo ścisze oddzielenie kobiet od mężczyzn), jedna z kokardką, druga kołnirzyk wyłożony. Polityczne nam mówia, że strasznie tu kradną. Latryna o pół kilometra, trzeba do niej iść w 50 osób, bo tam napadają, ściągają odzież, a jak wrzask - to to głową w dół do kloaki i koniec. Nikt nikogo nie szukał i chyba nikt tam nie wiedział, ile w obozie jest ludzi. Byli tam i polityczni i kryminalni, każdy etap oddzielnie. My już byliśmy ze spec-obozów (już te pod Brackiem były spec), już miałyśmy numery, choć dostałyśmy je dopiero w Magadanie (chodzi chyba o znaki nr na ubraniach). W naszym baraku jest dużo kobiet przywiezionych prosto z więzień: Litwinek, Ukrainek, ^{wiemianek} Białorusinek, nie były jeszcze w obozach. Siedzą, wystraszone kurki. Kobiety z innych baraków ostrzegły nas, że kryminalni chodzą i rabują ile się da. Więc szykujemy się. Weszły najpierw dwie lesbijki z kryminalnych, parka, zabrali jednej grzebyk z włosów, przeszły się przez barak - wywiad. Czekaemy więc. Kilka osób wyłazi z prycz. Nasza grupka (z 50 osób nas było tylko z tamtego obozu) była bliżej drzwi. Każemy wszystkim być w pogotowiu. "Słuchajcie dziewczyny, choćby wam się nogi trzęsły,

to wyłaźcie i róbcie grofne miny". (...) My przy wyjściu z czym kto ma. Koży jakies z kuchni zdobyłyśmy, kawałki deski, jakiś nóż, nożyce (?). "Jak wejda do baraku, staniemy, przegrodzimy im wyjście. Będziemy tłuc!" Niedługo czekałyśmy. Wchodzi wataha wyrostków, marnych fizycznie i psychicznie. Doszli do pół baraku, my z prync i murem przed nimi. "Czto wy, kto wy?" A my na to: My siewierny etap, przeszłyśmy co nie co!" I zaczynamy ich lać czym która może. Cośają się, my ^{ie} ~~for~~ za drzewi kopniakami wyrzucamy. Jedna po drugiej jak kulki wypadają, tłuką się na kamieniach przed barakiem i uciekają. Z innych baraków krzyk: "Brawo!" - idzie wielka fama: siewierny etap.

Przytłoczono trochę, ale do ułikacji nadal po 50 osób. W baraku było nas z 500, wszystkich zaś baraków chyba ze 20. Kiedyś pod wieczór słyszyny krzyk, strzelaninę, później smród (gdzieś się pali), jazgot jakiś, niesamowite krzyki. Cni to robili często: nopuszczali jednych na drugich, żeby między soba (kryminalni) się różnili. A oni z wież strażniczych strzelali jak ktoś przez płot chciał uciekać.

Między obozami były wąskie uliczki. To było całe obozowe z miasto. Gdzie spojrzysz - wieże strażnicze wszędzie. Większość to chyba były pbozy męskie. Obozy były porozdzielane płotami i uliczkami, było ich z kilkanaście. Oprócz tego oczywiście było tam normalne portowe miasto. (Naszajutrz po tym, jak słyszałyśmy stęząły pędzą nas, kobiety do kaźni. Nagle słyszyny na przedzie jakies "ochy" - pochód się zatrzymuje, krzyki. Okazuje się, że pod płotem leży kupa męskich trupów - jeden na drugim, jak drzewo. Przez noc się rżnęli, trupy za płot wyrzucono, ze dwadzieścia. Niektóre kobiety na ten widok zaczęły udleć.

Ociepliło się troszke, sformowali pochód i zagonili (dobre parę kilometrów) na cypel nad morzem, taki półwysep, gdzie był bardzo duży obóz na wzgórzu, ogromne, stare baraki. Do tego

obozu wszystkich nas, politycznych, wzięli. Nazywał się ten obóz Uji (?). Tam nie chodziłyśmy na normalne prace. Zapedzali nas do przynoszenia opału do gotowania, do naprawy jakichś dróg. Na prace tam nie chodziłam. Siedziałyśmy tam całe lato. Różnie spędzałyśmy czas, jak nie było nic do roboty. Nikt tam nam niczego nie zabraniał. Można się było zebrać grupami - Ukrainki, Litwinki, Polki, spotykałyśmy się, śpiewałyśmy. Nawet jakiś teatrzyk baby sobie wykombinowały. Spałam obok jednej Rumunki, z drugiej strony spała koło mnie Ukrainka z Ukrainy wschodniej, bardzo ładna, zgrabna dziewczyna. Pamięć miała niesamowita. Miała 25 lat ^{wykoła} była kapusiem. Wiedziałyśmy o tym. Kiedyś jakaś kulturalno-oświatowa przynosi jakiś tygodnik, w nim obrazki: biedni Murzyni w Afryce w przepaszkach, nędzy, łańcuchy na nogach - jedna skakała kuja kilofoami. Rumunka to była bystra, sprytna dziewczyna (można jej było wierzyć, odnosiłam się do niej serdecznie), mówi: "Ach, jaki biedny Murzyn, jaki chudy, ale patrz! - kilofo to taki jak i u nas! Tylko u nas wrózi!" Ukrainka zrozumiała ironię... (...) Ona właśnie mówi raz, że chciałyby wystawić sztukę, fragmenty Lermontowa pt "Cyryl". Cyryl to dziecko z jakiegoś książęcego rodu, wzięte do niewoli, dorasta w więzieniu. ~~Chce uciec, ucieka, łowią go i znowu jest w więzieniu. I przychodzi do niego stary zakonnik...~~ Ukrainka znała bardzo duże fragmenty tego, całą rolę Cyryla, i pyta mnie, czy bym nie zagrała starego zakonnika. Zagrałabym, mówię. Dostałam od bab dwie spódnice, zrobiłyśmy z nich strój, z pakuł brodę, perukę. I szycowałyśmy to. Ale NKWD zorientowało się, że to jest przeciwko władzy (...), sztuka o wolności, zakazali nam tego. Skoro nam na to nie pozwolili, na inne przedstawienia już nie chodziłam.

Było w tym obozie utrapienie, bo na 10 dużych baraków dwie kloaki tylko. Jak rano wychodzi kilka tysięcy bab, to jest tragedia, jedna z kloak czyszczona (na zmianę). Dwie baby w beczkach

wynosiły nieczystości za obóz (na drągach) i wylewały ze wzgórza gdzieś chyba w stronę morza. (Joda była z rzeki, dość bardzo. Nasza bielizna, zafarbowana wodą z kolorowych gliniek nie do wyprania dotąd, bo i mydła nie było - od tej wody się wybieliła, ale szybko wszystko zaczęło się strzępić i niszczyć). Każda brygada miała wyznaczać swoich ludzi do wynoszenia nieczystości, ale były ochotniczki! Dlaczego? Wzgórze było porośnięte niskimi drzewkami i tam roziło się od różnych zsylnych, byłych więźniów, różnego dziadostwa i hołoty. *Musieli pilnującym żołnierzom coś w kape dać* i ci pozwalali im z tymi babami się spotykać. Była pewna grupa Rosjanka Xudakowa i kilka innych, które co dzień nosiły nieczystości! Spotykały się z chłopami. Śmierdziały, oczywiście, ale czy te chłopcy też nie śmierdziały? To było tak wygodniże, *spragnione...* Dżicz. Kto tam nie był i tego nie widział, nie zrozumie. (...) Te ruskie baby k.... mówiły się "zaradne". Taka zawsze znajdzie kogoś, kto jej będzie pomagać. W czasie wyroku może i dzieci rodzić, im się to opłacało (...powt.).

Wyżywienie tam było jak wszędzie: owsiana albo jęczmienna kasza, żadnych witamin, nic. Byliśmy już dość wykończeni pod Brackiem, a tu dostałam takiej awitaminozy, że miałam niesamowite wrzody na całym ciele. W szanzastach zdziury siedziały, było wiadomo, że tam siedzi albo kapuś, albo czyjaś protegowana zaradna. U nas była jedna, dobra właściwie dla nas. Jak miałam wrzód na plecach założyli mi jakieś niesterylne tampony i dostałam zakażenia. W nocy już miałam temperaturę, majaczyłam, rano zamdlałam. Zaciągnęły mnie dziewczyny do tej przychodni. Nie wiedziały co mi jest, ja się domyślałam, że to z tego opetrunku, ale myślałam sobie: straszę, że z Kożymy nie ma powrotu, a niech sobie umrę! I nie *ty* babom nie mówię. Jak pytają, ja: "Nie wiem, wy musicie wiedzieć", mówię. Jak zaczęłam im wciąż mdleć, konwój zadzwonił na pogotowie i odwiózł mnie do szpitala do miasta (...) Jak jedziesz. to cały swój worek musisz ze sobą ciągnąć.

Zanim wpuścili mnie do szpitala, sprawdzili wszystko (kto i co), już był wieczór. Przyjął mnie jakiś felczer, włody człowiek. Mówie mu, że podejrzewam zakażenie, pokazuję wrzód. "Wyczyścił mi to, prze sypał czymś, jakiś zastrzyk mi zrobił, pokoczyli mnie wreszcie. Łóżko, pościel normalna, człowiek leży i nie wierzy sam sobie: czy to już tanton świat? Przez noc mi trochę ulżyło. Rano przyszedł lekarz, Gruzin, nie wiedział, kto jestem. Bratnyje przeważnie miały tatuaże, więc stanął nade mną, szarpnął prześcieradłem, patrzy, czy ja mam. Szarpnąłam z powrotem, on się nachylił, pyta "Kto wy?" - "Polka ze specobozu." Władzie palec na ustach, żeby nic nie mówić. Później wziął mnie na opatrunek i rozmawiały. Mówił, że też jest polityczny z 53 paragrafu i postara się trzymać mnie jak najdłużej w miarę jego możliwości (...). Dostawałam glukozę, witaminy, jedzenie było dosyć dobre. Byłam tam dwa tygodnie. W połowie tego pobytu zjawił się ktoś w białym fartuchu: "Pani Polka?" - "Tak" - "Cholera, z pani nazwiskiem! Doktor mi powiedział, że jest Polka, a ja w spisie nie mogłam pani znaleźć. Chciałem jakoś pania podkarmić!" I później rzeczywiście dostawałam jakieś dodatki.

Wydobrzakam, wypisują mnie. Wypisali wtedy bardzo dużo osób, przeważnie tych szczeniakovatych złodziejaszków. Zakładowali nas na ciężarowe auto i wywożą przez wertepy Bóg wie gdzie, od miasta daleko, w całkiem inną stronę niż mój obóz. Wiedli nas parę godzin, podjechaliśmy do jakiegoś wzgórza - a tu namioty stoja i tych małpiątek skaczących chmara, dzikie to, jak w psiarni jagot. Z auta wyskokuja wszyscy, tamci już ich witają, wołają, sami swoi. Ja siedzę cichutko i jeszcze jeden mężczyzna. Przychodzi do nas żołnierz, mówią, że jestem ze specobozu. Ten mężczyzna, Rosjanin, oświadcza, że także jest ze specobozu. Zrobili wielkie oczy, od razu przewieźli nas z powrotem do szpitala. Ale już był wieczór, konwoju brak, nie mogą nas odwieźć do obozu. Zankneli nas więc na klucz w rozbieralni przy kaźni. Łarówka pod sufitem,

kładę się na jedną ławkę, on na drugą - całą noc leżymy i rozmawiamy. Człowiek ten (może jakiś politruk?) opowiadał, jak żyć w obozie, jak sobie robić różne lekkie rzeczy, żeby mieć zwolnienie lekarskie i żeby to nie było szkodliwe (...). Rusek, chłop, ale kulturalnie się zachował. Rano zabrał nas konwój na stare śmieci na wzgórze.

Była z nami jedna dziewczyna jeszcze z cegielni, kapuś, Rosjanka, pracowała w kuchni. Kiedyś mnie spotyka i mówi, że zarządzająca kuchnią, wolna kobieta, poszukuje kogoś do haftowania makatki, nici ma. Zarządzająca mówi, że mnie zatrudni na noc. Trzeba zagotować kocioł wody na rano. Żadna robota (trzy ściany pod dachem), zgodziłam się, zrobiłam jej tę makatkę. Zawsze tam coś lepszego się zjadło, nieźle się żyło. Ta kobieta od siebie chleb mi przynosiła, suszyła go sobie, cukru i tłuszczu mi przyniosła. Było tak aż do wyjazdu.

Wyjazd nastąpił we wrześniu. Było jeszcze dość ciepło, gdy nas ładowali na statek "Mikacha Mikołaj" (To był jakiś uczonej podróżnik, którego matka była Polką). Ładowano nas na statek przez kilka dni, partiami. Część czekała, następnych przyprowadzano. W ładowniach prycze kilkupiętrowe, makabra. Ciemna, straszna dziura. Parę dni ładowali nas, w poniedziałek kończyli, sztorm się zaczął. (...) W poniedziałek nie wypływają, czekają do dwunastej godziny (nie wypływali w poniedziałki). Wypływamy, kołysze nas, prawie wszyscy chorują, prawie nikt nie może jeść. Kiedy przepływają koło Wysp Japońskich, są tam jakieś statki patrolowe. Wszystkich enkawudzistów zapędzają pod pokład, zostają tylko marynarze na zewnątrz. Ze niby statek handlowy, towarowy.

Na załatwienie potrzeb zbudowano przybudówkę przy burcie z desek zabezpieczenie, wysoko. (...) Na dole w ładowni duszno, tu żołnierz nie pozwala siedzieć, goni. Wychodzę, proszę, żeby mi pozwolił troszkę posiedzieć na powietrzu - zdarzył się jakiś ucziwy ~~xx~~

człowiek, pozwolił. Potrzymał, jak bałwany leca na statek, statek to w dół, to w górę leci. Niedys przychodzi do ładowni w czasie niesamowitego sztormu kapitan. Dąby jęczą: "Grażdanin kapitan, co z nami będzie?" (płacz opowiadającej) A on mówi: "Wszystko w rękach Boga". Jam się bał, wiecie tylu ludzi... Kto wie, co u niego za dusza, kto on jest... Potem przycichło. Płyneliśmy chyba z 8 dni. Skąd zresztą wiesz: dzień czy noc? Przywieźli nas do portu cywilnego Nagajewo. Port wojskowy był dalej na wschód. Wyciągają nas z ładowni - różnica temperatur ogromna, jakby latem wejść do zimnej piwnicy.

Niektórych, słabszych, z portu wieźli, niektórych (większość) prowadzili piechotą. Obóz był na czwartym kilometrze za miastem, a trudno powiedzieć ile kilometrów do miasta. W każdym razie było tam już wszystko dobrze zamierznięte. Ja jechałam. Wieźli i prowadzili do kilku obozów. Tam, gdzie ja trafiłam tak nas nakładowali do baraków, że nie było miejsca nawet żeby usiąść. Musiałam wleźć pod pryczę i przez całą noc tam leżałam. A chłód! Wiało tam i dmuchało tak, że to cud Boży, że nie dostałam zapalenia płuc. Byłam zskostniała. Jak wylazłam stamtąd, nie mogłam ani ręką ani nogą ruszać. Wszystko co miałam podłożyłam pod siebie, ale duży włożyć nie mogłam, bo pod pryczą nie było miejsca, prycze niskie. Drugi raz w życiu zmarzłam tak strasznie. Pierwszy raz w wagonie (mówiłam o tym), teraz po raz drugi.

Przyszli dozorczy i powiedzieli, że mają organizować się brygady. Jestem sama, ani żywej duszy ze znajomych nie ma. Większość to Ukrainki i to już same swoje - do nich to w żadnym wypadku! Siedzę, przyglądam się. Co mam robić? Muszę się zapisać do jakiejś brygady. Na statku nie widziałam żadnych Polek. Było kilka, ale dopiero później się z nimi spotkałam. W obozie Uju (?) było nas sporo, ale nie wszystkie popłynęły tym samym statkiem, część chyba

następnym. Siedzę więc i przyglądam się: siedzi Rusaczka (Rosjanka) one zawsze się wyróżniały zachowaniem, mową, sposobem bycia. Widzę, że podchodzą do niej te, które nie mają nikogo ze swoich: może to Zotyszki jakies, Estonki, które już tych Ukrainek mają dość. I już wokół tej Rosjanki taka zbiorowa delegacja szykuje się. Ja też podchodzę: "Ty bud czełowiek, weź mnie do siebie". Zapisuje. "Może przyjmie, może nie - na razie nie wiem i nie wiem do jakiej pracy. Ale już wiadomo, że ta Rosjanka będzie zaradna, nie da się w kaszy zjeść. Otwierają baraki, szykujemy się już w brygady. Rozdzielają nas po barakach, tak żeby każda miała miejsce, żeby pod prycza nie siedzieć. Moja Rosjanka mówi: "Siedzieć bez pracy w obozie nie ma co, bo wywalą, dalej poślą". Poszła i dostała pracę: ładowanie żwiru, piasku, kamieni większych do betonu. Brali to do budowy, ko było tego kilka gatunków nad morzem. Rosjanka mówi, że tam pójdziemy. Jeździliśmy tam ciężarówkami, bo to był spory kawał drogi, dużo czasu trzeba było tracić na przejście. Ciekawe było to miejsce. Są tam bardzo wysokie przypływy i jak był taki przypływ, to pod sam kamienisty brzeg przypływały fokki. A jak to u Rosjan: wszędzie były megafony, wszędzie muzyczka gra. A zwierzęta to muzyczne - gdzie muzyczka, tam ich pełno. Przypływały, wywijały się, ludzi się nie boją, podpływały bardzo blisko. Mogliśmy do brzegu morza podchodzić (do morza wolno było, wiadomo, że nie przepłyniesz!). Praca była ciężka, bo trzeba było ładować na samochody, swpać wysoko. I jeszcze: były łopaty ruskie i amerykańskie. Te ostatnie takiej formy jak łyżka, z cieniutkiej blachy i cienkim, mocnym trzonku, leciutkie. Można wziąć pełno piachu, żwiru, kamieni i człowiek bez trudu rzucał. A jak weźmiesz ruską łopatę, rozciapaną, wszystko się z niej wysypuje, a ona sama więcej waży niż ten piach. Jak przychodziliśmy, to od razu była walka o te łopaty. My mówimy do Rosjanek: bierzcie swoje, te amerykańskie, kapitalistów - to my weźmiemy. Wieczna była o te łopaty draka. Chodziliśmy do tej pracy

39

jeszcze kiedy zaczęły padać śniegi, zaczęło na dobre marznąć. Ale kiedyś nas złapała burza śniegowa - purga w tym porcie. Na dole jeszcze śniegu nie było dużo. Ale z gór dookoła szalony wiatr znosił nie tylko śnieg, ale i żwir. Nie można było patrzeć, bo było po oczach, góry są czarne po tych huraganach, wszystko wiatr zmiata. To była straszna rzecz, kawał drogi: jakiś traktor jechał i traktorzysta jakieś sznury, łańcuchy poprzywiązywał do tego traktora, myśmy się tego trzymały i szły za traktorem. Gdyby zjechał z ~~z~~ drogi w bok - to koniec, już by nie wyjechał. Tak ginęło tam wielu ludzi, aut, ciężarówek. Dopiero wiosną, jak śnieg stajał, znajdowano kogoś przysypanego. Ten jakos drogę znał, często chyba jeździł, miał wyczucie. Wiatr dmucha w czasie purgi zawsze z północnego ~~wsk~~ wschodu, trzeba mieć wyczucie jak iść, żeby nie zbił cię z drogi. Wszyscy, żołnierze także, trzymaliśmy się łańcuchów i sznurów i jakoś dopchaliśmy się do obozu. Purga zawsze trwa kilka dni. I od tego czasu nie chodziliśmy już na tę robotę. (...)

Nasza brygadzistka wzięła nas do innej pracy. Niwelowałyśmy ~~gr~~ grunt przy koszarach, które prawdopodobnie niedawno były zbudowane. Nie było jeszcze wielkich mrozów. Zdejmowało się tego gruntu do dwóch metrów, w każdym razie więcej niż metr. Był to zamrznięty torf, odpadał kawałkami, klinami, tak że potem nie sposób było tego na auta ładować. Jak się konus młot złamie, topór, kilof, łopata, czasem powiedziałam, że naprawię i reperowałam to. Ale zrobiły się większe mrozy, chłodniej od morza wiało, więc pomyślałam: po co będę ręce mrozić, naprawiać, trzymać żelazo, wolę z łopata stać. Na dole kilofem rozbijałam ziemię. Z normami tam różnie było, zawsze coś dopisywali. Stałam więc na dole, kilofem biję w ziemię, a z góry krzyczy któraś z dziewcząt: Sławka, ty jesteś stolarz? (A jak się już zrobiło za zimno, to jak im się coś zepsuło, mówią, że nie stolarz, tylko inżynier budowlany i żeby mi głowy nie zawracały). I z góry skacze na dół do mnie jakiś młody mężczyzna i mówi: Wy inżynier? (O nazwisko nie pyta, widocznie brygadzistka

mu powiedziała). Zaczęłam się tłumaczyć, że ja nie żaden inżynier, ale już nazajutrz wywożą mnie do innej brygady, budowlanej. Przychodzimy na budowę całego osiedla NKWD. Zaczęto dom administracyjny jak tam nastałam: sale sądowe, sala kinowa, kuchnie. Część budowano normalnie na fundamentach równych z ziemią, a część była robiona jako schron przeciwoatomowy. Był już wykopany bardzo głęboki dół. I część murów w górę już idzie, a ten dół jeszcze wciąż się pogłębia. Przyszłam tam zameldowana jako stolarz i biorą mnie do umocnienia transzei na fundamenty. "aszym technikiem był pan Adam, Polak z pochodzenia, z 20 roku chyba - mam wrażenie, że jako komunista był po tamtej stronie. Mówił, że brat jego zginął gdzieś na Wileńszczyźnie, a on pewnie jak były narodowościowe cząstki podpadł. Wydawał mi się ten człowiek podejrzany. Były wiezień, która jak przeszedł obóz bolszewicki, nauczył się wszystkiego, teraz był technikiem, który nas przyczął. To on mnie postawił przy tych umocnieniach, przyglądał mi się i pytał, czy pracowałam w kopalni. "ówie, że nie byłam w kopalni. "Widzę, że wiesz, jak to ma być robione", on na to. Takich jak on było tam kilku, między innymi jeszcze jeden Polak. I inżynierem, kierownikiem prac, był tam wówczas Polak Roman Strukowski. "szyscy zwracali się do niego: Rem Władimirowicz. Był zsylny, to był człowiek mądry i sprytny.. Ukrainki, wrogo nastawione do Polaków, nienawidzące ich, mówiły: "Choć on Polak, ale jest sprawiedliwy i tak mądry, że nic mu nie można zarzucić." "óże nie był sądzony, może już jego rodzice byli już tu na zsyłce. Bardzo mądrze prowadził ludzi, długo z nami ^{był} był.

Miałyśmy już wtedy (widoczne) numery, dali je nam na czwartym kilometrze. Mój numer: D 2 -789. Kiedy nas zabierani na prace, każdy podchodził i mówił swój numer, oni mieli listy, karty. Maczelnik (?) ^{Konwoj} miał te karty u siebie, ten który nas prowadził i sprawdzał.

Na tej budowie pracowałam do końca wyroku. Nie wrywałam się stamtąd, bo się bałam kopalni. A tam się już przyuczyłam, inżynier

Inżynier robił dla nas wykłady, po prostu rysował plany, ich części, pokazywał osie, numery, miał z nami po parę godzin zajęć.. Niektóre nie rozumiały dobrze rosyjskiego, np. jedna Litwinka - ale jak ja im tłumaczyłam, co było na wykładzie, to rozumiały. Na egzaminy przyjeżdżali inżynierowie z innych obiektów. Ja i Janka Stanowiczówna (?) byłyśmy tam jako majstrowie. Zdawałyśmy egzaminy. Był to rok 51. Jak przyszło lato, pracowałyśmy na dwie zmiany.

Z tej budowy nie brali ludzi do innych prac (sianołosy itd), a staż nad nią pułkownik Wasiljew. Opiekował się nami. Na przykład skarżyłyśmy się, że nam nie pozwalają chodzić w jakimś lżejszym własnym obuwiu, tylko w tych kilometrowych buciorach, które dostajemy, a tu jest mokro, buciorów nie możemy dosuszyć. Wasiljew zadzwonił i powiedział, że brygada nasza ma chodzić we własnym obuwiu, jeśli ktoś ma, nie wolno tego zabraniać. Na zinę dostawałyśmy waciaczki i walonki, na lato lekkie spodnie. Dostawałyśmy też bieliznę, wszystko. Mogłyśmy nosić kolor granatowy, ciemnobrazowy albo czarny, żadnych innych. Tylko to, co dostajemy. A jeśli coś swego, to tylko w tych kolorach - nie jasnego.

Nie mieszkałam cały czas w jednym obozie, przeganiali nas, były różne sytuacje. Przerzucali również cały czas z baraku do baraku. Raz mieszkałyśmy w takim z żelaznym dachem, przeciekał. Kapie, człowiek się skręca, całą noc nie śpi. Przychodzi Wasiljew (od czasu do czasu przychodził na ^{obiekt} ~~obład~~), skarżyłyśmy mu się na to kapanie i na barak, mówimy, że jesteśmy nie wyspane. Znow dzwoni i później jak przetrzucali z baraku do baraku, my zawsze do nowego idziemy! Tam, gdzie dachy całe. My wychodzimy w swoich bucikach, inne brygady zaczynają także, ale tanytch zawracają. "No a czemu NGB chodzi w swoich?" My na to, żeby się nie porównywały z nami, że nam nie tylko to wolno, nie tylko cywilne buty! A u nas lżej nie było, ciężiej nawet, bo na innych budowach mógł kierownik coś (z normy) dopisać, dokreślić - a u nas nie. Czasem tylko, jak było jakieś przetrzucanie ziemi, można to było zrobić. Ale np. przepopywałyśmy rowy do rur ogrzewczych. Na

tym miejscu kiedyś było wysypisko śmieci - blaszanki, szkło, guma. Palić nie wolno, bo jak kiedyś zapalili, to ta guma zaczęła się tlić pod ziemią, nie wiadomo było, jak gasić. Jak stanęliśmy na tę robotę, normy nie wyrobiłyśmy i część brygady miała 300g chleba. To była, pamiętam, straszna rzecz, jak dostałyśmy ten stratny pająk, to Rem ^{Strurowski} Władimirowicz przyniósł raz od rybaków cały worek ryby i jakiejś kaszy. Jakaś dziewczyna nam ugotowała z tego obiad, jakiego nie było nigdy! I w bród tego było. Raz się udało. I któraś z kapusiów naszych, tych robotników na obiekcie musiała donieść. Rena Władimirowicza NKWD wezwało, że "podkarmia tych faszystów". Więc powiedział do nas: słuchajcie, ja bym mógł! Bo jak pójdę do rybaków i powiem im, że mam więźniów na stratnym pająku - dadzą mi worek ryby. Ale już nie mogę, wezwali mnie, bo wśród was jest kapuś, któremu może paczki przysyłają, a może za to, że mówi, jeść dostaje. Ale pamiętajcie, że to nie moja wina. Przychodzimy do domu i wieczorem dają nam tylko zupę - nic więcej! Po całym obozie się rozeszło, że Ngb na zmniejszonej pajce. Przychodzą... (płacz) nie zawsze można mówić o tym spokojnie! - przychodzą z innych brygad, którym może lepiej, może ktoś paczki dostaje - przychodzą całkiem obce dziewczęta i przynoszą nam kaszy i po kawałku chleba! Do mnie przychodzi jakaś Ukrainka i daje! - ja tego przełknąć nie mogę! Człowiek, z którym mnie absolutnie nic nie łączy przynosi mi miskę kaszy! Jakoś to przeżyłyśmy i znów się dostało 600 g chleba.

Kiedy przybyłyśmy do tego obozu, były tam zasiedziały nasze baby, Polki. Była tam pracownia krawiecka i te panie wieczorami "remontowały" naszą odzież: rękawice, spodnie itd. Przeważnie jednak same dziewczęta to robiły. One tam fuchy robią, dla wolnych szyją, dla więźniarek, obszywają wszystkich tych, którzy mają jakieś dochody. Były to panie Jasia i Zdzisia, takie dość dobrze utuczone baby. Pierwsza wigilia - zapraszają nas do siebie. Myśmy się specjalnie nie znały, bo chodziłyśmy na roboty ogólne, najwyżej pójdzie się do nich poprosić kawałek nitki czy łątę i tyle. Ale nie

lubiłam się nigdy nikomu narzucać. Był to 50 rok. Zebrało nas się tam Polek może ze 20 i do tego na wigilię jedną Żydówka jest zaproszona, bo dostają od niej wtaminki, wazelinki (ona pracuje na T.Cz.) mogą z tego korzystać. Zaprosiły też naradczycę i jeszcze jakąś tam baba. Janeczka Skunkis ~~ta~~ (Stundys?) też tam była. Polek około 20. I zaczęły się panie wymądrzać, przypominać, jak to za dobrych czasów było, koleżanki swoje wspominać, które ja dość dobrze znałam i nie miały czym się chwalić. Nawet wygarnełam tym paniom, że nie mają czym się chwalić: Iga, Iga... Mówię, że tę Ige znam dość dobrze osobiście, bo z nią siedziałam w obozie, a że mieszkała w Wilnie, dużo o niej słyszałam. Jej ojciec miał kmaję, a wyszła za ruskiego komunistę. Jak przyszli Niemcy to go wydała - ta była dyplomowana pani, o której się mówi "zaradna". (...). Któraś z tych pań się chwaliła, że to jej przyjaciółka. Nie wiedziałyśmy, skąd one mają kaszę ryżową trochę cukrem osłodzoną. Okazało się, że nasi ludzie wywiezieni w 39 roku byli zesłani na Kołymę, poddbywali tu wyroki i potem tu osiedli (niektórzy wyszli z armią Andersa, ale nie wszyscy - jeszcze z nami wracali później, np. pan Andrzej Mackiewicz z Krakowa) i przez jakieś znajomości pomagali Polkom w obozach. Pan Andrzej to opowiadał. A my nie wiedziałyśmy, skąd one to mają - czuły się paniami. Jak nadchodziła Wielkanoc i była zapowiedź, że coś tam znów szykują, to powiedziałam Janeczce Stundis: "Słuchaj, Janka, chcesz iść? Bo ja nie!" One zawsze prawiki kazania: "Młode takie żeby na złą drogę nie zeszły" itp. Mówię: "Jak chcecie, żeby na złą drogę nie zeszły, to pomóżcie, kawałkiem chleba się z taką podziel!" Zła droga - znaczy to, że się z kimś romansuje, spotyka z kimś (wtreć o Wandzie Zajączkowskiej, młodej i ładnej, która teraz mieszka w Warszawie). Było tam więc przyjęcie na Wielkanoc, ale ani ja, ani Janka Stundis nie poszłyśmy. Wyszłyśmy sobie za barak kupką, usiadłyśmy, słońce przygrzewało. Więcej do tych bab nie chodziłam. Będzie Żydówka (na wigilii) siedzieć? Nie wiedziałam wówczas, że mężczyźni Pola-

cyprzysyłają coś, a bąby się tym rządzą! Dostawały częściej, a uroczystości takie robiły dwa razy do roku! Więcej z nimi nie miałam do czynienia.

Z Polek oprócz nas była pani Zofia ~~Wichajka~~ (Sporchańska), pani Magdalena, hrabianka (jak był de Gaulle w Warszawie to chyba im jednym składał wizytę), lepiej po francusku niż po polsku mówiła. Pani Magdalena miała dziecko, dziewczynkę, która była chowana w sierocińcu. Potem zabrała to dziecko, było jak dzikie zwierzę, tylko po rosyjsku mówiło. Kiedy tu przyjechało to były z nim kłopoty, ale widać inteligencję miało zakodowaną, wyrosła na człowieka i studiowała w Paryżu). Było trochę dziewcząt, Polek, które tylko mniej więcej się znało. Nie wiedziało się, czy Baśka lub Tryśka to prawdziwe jej imię czy tylko pseudonim. W mojej brygadzie żadna z nich nie pracowała. Jakiś czas była jakaś pani Czapla z Wileńszczyzny, dostawała dość bogate paczki. Była bardzo wysokiego mniemania o sobie. Była to ~~wybitna inteligentka~~ baba z wiochy, jakiś mały folwarczek mieli. Kiedyś dostała paczkę, mówi do mnie: "Idź, weź sobie moja zupe, a chleb mi przynieś". Ja na to: "Nie będę ci mogła przynieść, bo się źle czuję, poproś kogo innego!" (...) Mogłam być głodna, puchłam, ale ja nawet do rodzzonego ojca nie napisałam ani jeden raz listu (...). Czapla niedługo była, gdzieś ją wysłali. Inne Polki pracowały w innych brygadach, na innych budowach. Były tam też dwie siostry Rzezy, jedna z nich była bardzo zaradna, bo zawsze miała jakieś "zapomogi!". *Wyszła za Rusaka i została w Magadanie*

W brygadzie były Niemki z Powoźża, Frydka, Roza, Olga i bardzo młodziutka dziewczyna, Maryjka. Gdyby nie te kobiety, to bym może nie wyszła z życiem z tego obozu. Bo kiedyś pracowałam w obozie, budowali przybudówkę-baraczek dla kierowców, którzy przyjeżdżali z dalekiego terenu i później nie mieli się gdzie podziąć. Dziewczyny tynkowały wewnątrz: stała tam beczka (ogrzewcza) i wewnątrz było 40 stopni gorąca (...). Ja wstawiałam okna i drzwi. Na dworze było

40 stopni mrozu. Ja między tym upałem a tym mrozem. Cały dzień tak przepracowałam, a jak przyszłam do domu, to mnie tak sparło, że nie mogłam oddychać. Poszłam do tej przychodni, tam termometr pod pachę i zwolnienie na parę dni - i nic więcej. Przyszłam do baraku, lamentuję, mówię, że nie wiem, co nam robić. A spałam obok tych Niemek. One się mną zajęły. Jakies cegły czy kamienie włożyły do pieca, grzały je po kolei. Mnie posadziły na taboret, postawiły ~~xxx~~ wiadro drewniane, kamień w to wiadro, nalały wody, mnie i wiadro okryły kocami, żeby powietrze nie dochodziło i kazały oddychać tym wilgotnym gorącym powietrzem pod kocem. I zmieniały wciąż te kamienie. Nie miałam już siły siedzieć, podtrzymywały mnie z obu stron i zmieniały, zmieniały kamienie. Nam, z Zachodu, taka kucacja by do głowy nie przyszła. A że one były wychowane w Rosji bolszewickiej, znały sposoby (...). Oddychałam tak, później już im całkiem zwiędłam na rękach. Dla nich to była chwila, dla mnie wieczność. Wciągnęły mnie na prycze, przykryły kocami jakimiś, poduchami, ze mnie ścieka woda, proszę, żeby mnie odkryły (...). Żadnego gadania tak ma być. Nazajutrz dobrze się czułam. Więc trzymałam z tymi Niemkami. Jak ktoś zaprzyjaźniony był w innej brygadzie, to po pracy spotykałyśmy się, rozmawiały (...). Była z nami później Maryjka Kuzatkowa, pochodziła spod Brańska. Niemcy wywieźli ją do Niemiec na roboty, tam pracowała u jakiegoś bambra, trafiła na dobrych ludzi. Mówiła, że jak od nich wyjeżdżała do domu, Niemka włożyła jej do walizy odzież, butów, bielizny, wszystko. Przejechała przez polskie ziemie, przewieźli ją, do Łańci zabrali. Jak z niej wyszła, chustki do nosa nie miała. Dali jej waciaki, szmaty wysmarowane (np. po jakimś traktorzyście) i jazda! A na śledztwie tak ją tłukli, że miała wszystkie zęby wybite. Skazana za zdradę ojczyzny. Ale zawsze z tymi wybitymi zębami uśmiechnięta, pogodny miała charakter. Była jeszcze ze mną w brygadzie ~~Prłady~~, spotkałyśmy się znów na Kółmie.

Zanim trafiłam do brygady NKWD, mieszkaliśmy jakiś czas w namiocie (Alinę kiedyś tam spotkałam, podeszłam do niej, spytałam, czy jest Polką, a ona na to, czy to nie wszystko jedno. Nie miałam z nią żadnych kontaktów). (...) Już byłam w baraku, a ta Maryjka jeszcze w namiocie, a zima było ostra. Więc mówię: "Maryjka, przychodź z wieczora, wleziesz do mnie przed snem na prycze, posiedzisz w ciepłe. Ciasno bo ciasno, ale się ogrzejesz". Przychodziła. Kiedyś tak siedziły, na przeciwko nowa jakaś twarz, ktoś dokwaterowany siedzi, nos na kwintę, człowiek w jakiejś rozpacz, coś przeżywa. Najczęściej romanse tak przeżywały (rzeczywiście wyglądała inaczej niż my z puszczy). W końcu po dwóch-wieczorach mówię: "Maryjka, zaprosź ja do nasę do naszego towarzystwa! Ona przyszła, przedstawia się, też Maria. Rozmawiamy (dwie Marijei ja), różne anegdoty, bo nigdy nikt nie pytał kto, skąd, za co, to nie było przyjęte w obozie. (...) Przychodziła tak do nas a później znikła. Jej opiekun, ten ktoś, tu już "doszedł" i umieścił ją w przychodni jako siostrę. Ale nie zapomniała, że nie dałyśmy jej za dużo rozmyślać, że ją zaprosiłyśmy (a trwało to z miesiąc). Przyszła do nas: "Jestem w przychodni. Jak nie będzie lekarza (była tam wolna lekarz), to powiadomcie was, zawsze w dzień wolny dostaniecie." Bo siostrę lekarka upoważniała do zwolnienia, jeśli się miało temperaturę, bo inaczej tam żadna choroba nie była uwzględniana). Jak długo baba tam była, pomagała. Pewnego razu w zimie ma być w nocy zalewanie betonu. Wiem, że będzie mi na głowę lało, całą noc w mokrym męczyć się będę, nie moja robota - myślę - pójdę, może dzień wolny dostanę! Mamy wieczór wychodzić do pracy, jestem strasznie zmartwiona, bo wiem, że będę miała niesamowicie ciężką noc. Idę do przychodni, ale jest lekarz. Patrzą na Maryjkę. Lekarka kogoś osłuchiwała, Maryjka w tym czasie dała mi termometr. Kaszlę, lekarka osłuchiwała mnie, patrzą: skierowanie do szpitala mi pisze! (...) Maria dała mi termometr z czyjaś temperatura! Ale osłuchanie kwalifikowało mnie do szpitala. W szpitalu obozowym była siostrzyczka pochodząca z Białorusi, Ignatowicz. Wyjaślam

jej, że mnie tu skierowano na podstawie osłuchu, temperatury nie miałam. W szpitaliku też była wolna lekarka (często lekarzy zmieniali), coś musiała przeżyć, może na syfilis była chora, miała popielatą cerę. I jak zaczęła pracować, zaraz przeprowadziła badania. Sporo było bab z syfilisem. Oddzielnie musiały wszystkie przy stole jeść, ale w brygadach były różnych. Ta lekarka była krótko, ale dobra była bardzo. Miśmy tam dla wolnych haftowały różne rzeczy, ona to nam sprzedawała, kupowała glukozę, witaminy, robiła nam zastrzyki. (Ja też kilka rzeczy zrobiłam, jakieś powłoczki na poduszki).

Działy się tam i takie rzeczy: brygady robocze wychodzą do pracy, a do baraku przychodzi kilku żołnierzy i robią rewizję. Masz kubek, miskę, kociołek, szklanke - wszystko zabierają. Składają to w duże skrzynie na sankach (zima) i wywożą poza obóz. Później między sobą rozdzielają, a co im się nie nada - wyrzucają.

Byłam akurat na zwolnieniu i nie poszłam do pracy (Miałam pod pachą wrzód, cały czas na Kołymie miałam wrzoły, awitaminoza, leczenie (...), brali mi krew z żyły i w siedzenie pakowali), przyszli ranb, zrobili rewizję, zabrali wszystko. W baraku bałagan. Przychodzi jakaś komisja spoza obozu, łażą po barakach (wszystko tu na czwartym kilometrze), sprawdzają, która ma co ma zwolnienie. Chodzi z nimi felczer, Żyd. A na zwolnieniu w baraku jest też kilka Rusaczek (Rosjanek), takich, co to przeszły front: zaradne w stu procentach. (...) Jedna zwraca się do tego Żyda, doktor ~~Wr~~bracz się nazywał: "Czy można spytać o coś pana doktora? Czy pana żona się podmywa? Żyd jak to Żyd, zaskoczony, płochliwy, tchórzliwy... (DALEJ STRESZCZAM) Oficerowie z komisji, "wielkie szuchy", rechocą, zainteresowani pytaniami i rozbawieni zakłopotaniem felczera, każą mu odpowiadać. Kobiety wreszcie wyjaśniają, że poranna rewizja pozbawiła je możliwości podmywania się: odebrali wszystkie naczynia, niezbędne przy toalecie wobec nikłej ilości wody w umywalni we wspólnym korytku.

Barbara Chodyko

(Od taśmy X do taśmy XIII)

1 edycja oficjalna

Bania była raz na 10 dni. I kazał te skrzynki na sankach wciągać z powrotem, żeby kobiety sobie rozebrały. To znaczy, że to nie było zakazane tak, że nie można tego mieć. Wytłumaczyli, o co chodzi, że kto był w obozie, pozabierał, kto przyszedł, znalazł - nie znalazł, musiał sobie znowu później jakoś ponarzynać. Wodę przywozili beczko-
wozami z miasta i to spory kawał. Nawet później, jak był szpital wojskowy, nawet do niego wozili wodę. Na dole przepływała rzeczka i tam była studnia głębinowa, pompa, stamtąd wozili.

Co 10 dni kąpali nas. Kiedyś coś wypadło i ~~nie~~ kąpali aż po 20 dniach. Komisje i delegacje przyjeżdżają i wiecznie po barakach ła-
żą. I kobiety zaczynają pytać: "Dlaczego nas nie kąpali, minęła de-
kada". "Trzeba czekać aż kolej wasza będzie za dziesięć dni". Ktoś się z ciemnego kąta odzywa, że więźniów można nie kąpać, któraś z
bań. A panowie oficerowie: "Jak to więźniów? U nas więźniów nie ma. U nas czasowo izolowani!" To się dowiedziałyśmy, że mamy numery, pod karabinami chodzimy, ja mam dziesięć lat, ale są wyroki i po 25 lat - ale więźniów nie ma.

Jeszcze jedną rzecz przeoczyłam: jak przywieźli nas na Buchtę Wa-
nina, to już była gotowa, przysłana z Moskwy lista z naszymi numera-
mi. I kiedy nas sprawdzali przed wyjazdem, okazuje się, że mam 25 lat wyroku! Dopisali mi! Więc rozpacz straszna: parę lat odsiedzia-
łam, a tu w dokumencie przysłanym z Moskwy mam 25 lat! Mówię: "Jak to, mam przecież 10 lat!" - "To proszę pisać do Moskwy". Piszę do tej Moskwy - i przyszło sprostowanie, że mam 10 lat. Ale gdybym nie zdążyła, to bym pojechała do Tagadanu z 25 latami! Ile ja wówczas przeżyłam! Wszystko szło z Moskwy. Jak nas szykowali na etap, wywo-
żują wg gotowych list, szukają pani Dobrowolskiej, a takowej u nas nie ma. Pani Dobrowolska to była taka krawcowa: zajmowała się kraw-
nictwem. Okazuje się, że była kochanicą Tatara pana - i on zamiesz-
Komendant garnizonu

niej wsadził (do transportu) niedorozwinięta Ukrainkę, ciapę taką, może sierotę wychowaną przez obcych, co to jak kopniesz, to upadnie, jak postawisz to będzie stała - takie o! Taką osobę wysłali! I ona już nie została do Magadanu zabrana, nie. A co z tamtą osobą było, nie wiem.

Było powstanie. To chyba był rok 51. My byliśmy na czwartym kilometrze, w obozie drugim, z kilometr dalej. Obóz nie był jeden, tylko cały kwartał - nie specobozy, tylko różne przesyłki, wysyłki, złodzieje, uciekł z roboty - takie różne rzeczy. Ogromny plac, uliczki. Nasz specobóz był w rogu. Za nami obóz przesyłkowy - różne narodowości. Przyjeżdżali, wywozili ich, czasami rozmawiały z nimi kobiety: każdy z nich miał po 300 lat, jak mówili, za jakieś tam przewinienia w obozach. I było tam powstanie. My byliśmy wtedy w innym obozie, gdzie szpital wojskowy budowano, mury podciągnęliśmy same kobiety. Na tym czwartym kilometrze było ze 40 obozów, wszędzie było pełno obozów. Trudno powiedzieć, ilu ludzi w którym - zawsze kogoś przysyłają, kogoś zabierają, wieczne przesyłki, rotacja. Na czwartym kilometrze było kilkadziesiąt tys. więźniów. Tylko wieże wartownicze oddzielały nasz kobiecy obóz od męskiego i płot - z ich strony zawsze było niespokojnie. Walki trwały kilka dni, tylko je słyszałyśmy. Do pracy myśmy nie chodziły. Było słychać strzały, ujadanie psów, jęki, krzyki. Wszystko w przesylnym obozie, gdzie byli nie tylko kryminalni, więźniów często zmieniali, wywozili, jeszcze straszili, że ich wywożą na jakieś Białe Krwsty, jakieś B2, jakaś Artachała była, Ziemia Franciszka Józefa... Kilka dni to trwało, nie chodziłyśmy do roboty, a pracowałyśmy w obozie, gdzie szpital się budował i domy dla pracowników. Z bardzo dużych baraków robiłyśmy mniejsze pokoje. Trudno powiedzieć, ilu było zabitych, bo z tamtymi luźmi nie miałyśmy kontaktów. Mężczyzn Polaków chyba gdzieś usunięto. ~~Wtedy~~ Powstanie to potem przytłumiłi. Później nas przenieśli do tego obozu, a mężczyzn na nasze

był 2 powstania, p. Gizańska wszystko pokazała

miejsce, pewnie się bali, żeby inni nie dołączyli do tego (chodzi chyba o przedzielenie dwóch obozów męskich kobiecym). Przerzucono nas, baby jak to baby, zawsze spokojnie.

Minał jakiś czas, rok chyba. Nocy nie ma, okna się zasłania, bo człowiek chce spać umęczony, nie może zasnąć - słońce świeci. A my słyszymy, że w sąsiednim obozie męskim (przy ~~ich~~^{naszym} płocie jest szpital, nasz barak następny) szmer, coś się dzieje, coś się robi. Niepokój nam się udziela, wszystkie jesteśmy zdenerwowane. Już czas spać, już późno, kobiety porozbierane, ale jeszcze nie śpimy. A ten coraz głośniejszy, coraz głośniejszy. Był między obozami płot z desek, wysoki na dwa i pół, trzy metry, gładki, bez szpar. W pewnej chwili baby, które siedzą przy oknie, krzyczą: "Ojej, baby! Płot się rusza od tego obozu!" - "Niemożliwe!" Zwalizyśmy się wszystkie w tamtą stronę, patrzymy - rzeczywiście płot zaczyna się ruszać... Płot zaczyna padać do naszego obozu, przesła się wałą, zaczyna się strzelanina z wież strażniczych ich i naszych i ich karabiny maszynowe grają. Baby w strachu. Wszystkie, jak jedna - pamiętam - naciągają spodnie! (śmiech) Później się z tego same śmiałyśmy, ale pierwszy od ruch: naciągać spodnie. Patrzymy, co się dzieje. Ale oni (więźniowie) nie do nas i nie do szpitalika, lecz do następnego baraku wrywali się, wyłamali drzwi (były kłódki, zamykali nas jeszcze). Padały trupy, bo z karabinów maszynowych strzelano, przestrzeń między jedną a drugą wieżą sto, 150 metrów. Nasze władze obozowe z tantymi wiecznie się żarły, bo nie mogąc się widzieć przez płot, chłopcy wykazyli na dach - i handel. I tak: za paczkę herbaty przerzucają waciaka, spodnie. A bywały takie baby, że taki przerzuci, a ona później tej herbaty nie daje. Wyzywanie, kłótnie... Jak im dają ciepłą odzież przed wywózką, przez płot przerzucają wszystko. Herbatę kobiety miały, bo jak się pracowało na budowie, były różne kombinacje, wolnych było trochę, zawsze ktoś coś sprzedawał, coś miał na wymianę. Więc patrzymy: jęk, krzyk, strach Boży! Snu już nie ma.

Siedzimy zamknięte, patrzymy, co się tam dzieje. Po tej strzelaninie część wycofała się z powrotem, przyjeżdżają czarne budy, pogotowie. Tamci zbuntowani zabarykadowali się w baraku, powciągali rannych, pozabierali wszystko kobietom, porwali na bandażę... Pełno wojska w naszym obozie, ruch, krzyk, awantury. Prowadza pertraktacje przez okna, żeby żołnierze się wycofali, żeby zostali tylko oficerowie, to oni otworzą drzwi. Bo przecież i tak wyjścia nie mają. Rzeczywiście wojsko się wycofało, pada oficerskie słowo, że im pozwala z powrotem wejść do ich obozu. Nic podobnego! Jak drzwi otworzyli, to zaraz pod ścianę, kajdanki na ręce. Pozabierali trupy i rannych. Nikt przez noc nie spał, a rano nas normalnie pogonili do roboty. Do samego rana to się działo.

Ci mężczyźni wiedzieli, że będą gdzieś wysłani w gorsze miejsce. Pytano ich, dlaczego to robili. "Czy nie lepiej tutaj od razu umrzeć, niż mając 300 lat wyroku gdzieś dogorywać?" Nie było to zupełnie beznadziejne działanie. Część zginęła, część ranna, część sądzono i do tych 300 lat jeszcze im dodawali... Czarne budy, więźniarki, też były na Kołymie, przecież to jest kraj więźniów (...). Nie wiem, czy byli Polacy wśród tych powstańców, ja jakoś z nimi nie rozmawiałam. Na pewno byli... (...)

Na budowie... Tych niby techników zmieniali. Był Polak, był Ukraińiec, był Rosjanin, znów Polak (taki trzaśnięty w mordę idiota) zmieniali często tych ludzi. Żołnierze, którzy nas woźili, też byli zmieniani dość często. Bo bywały takie rzeczy, że syn szedł z karabinem, a ojciec w szeregu. U nas tak było. Parę dni chodził, z tym ojcem rozmawiał, przyszedł ostatni raz, z ojcem się pożegnał. Przyszedł do obozu. A w każdym obozie jest takie miejsce święte - "kрасny ogołok" - Stalin, Lenin, wszyscy święci, czerwonych szmat nawieszane. On wziął automat i automatem potrzaskał wszystkie te portrety, a kiedy biegli go obezwładnić, to lufę skierował na siebie i przerznął się łukiem z tego automatu. Więc oni bardzo często ich

zmieniali. Trafiali się różni ludzie. Byli jacyś (trudno mi określić narodowość) bardzo kulturalni, bardzo grzeczni dla nas. Szukam kiedyś konwerty (tak nazywałyśmy pewne szczyt^{ki}), a jeden z tych żołnirzy zrozumiał, że szukam koperty. "Wy nie macie?" - "Nie mamy" - (...) "Ja dziś ze sobą nie mam, ale jutro przyniosę". I przyniósł nam po kilka kopert i papier do pisania. Tak że różni byli ludzie. Byli wśród nich ci z południa, z Kaukazu, źle po rosyjsku mówili, ale było w nich widać kulturę. Ale byli i dranie, którzy czepiali się wszystkiego. Dom, przy którym pracowałyśmy, był już zbudowany do drugiego piętra chyba i z wieży strażniczej strażnik nie mógł nas widzieć, najwyżej słyszał rozmowę. Pod koniec przerwy obiadowej wylazłyśmy na górę, patrzymy: pędzą jakichś mężczyzn prawdopodobnie do portu, na wywózkę, bo ubrani i bez żadnych narzędzi. Oni patrzą na nas, my w oknach budynku stoimy, przyglądamy się. Żadna z nas nic do nich nie mówiła, ale oni do nas, że "dziewczeta, nie martwcie się, przyjdzie Ameryka..." - bzdury gadali. Draj stał gdzieś na tej wieży, nie widział nas. A miałyśmy zakazane wszystko, tylko te czarne szmaty z numerami na głowę - wkładałam ^{zich} pod czarną chustkę wąski rąbek biało-błękitnego materiału. Nikt się o to nigdy nie czepiał, ale gdyby miał ktoś na oku, to był znak. Ci mężczyźni przeszli, już dzwonek do roboty. Jeszcze nie przestał dzwonek dzwonić - przychodzi do nas na górę żołnierz. Rozgląda się i podchodzi do mnie. Ktoś z ulicy musiał mu powiedzieć (że do nas mężczyźni mówili), a żadna z nas przecież nic nie mówiła. "Chodź ze mną" - zabiera mnie. Domyślałam się, że to w związku z tym gadaniem. To taka podła dusza musiała być. Klatki schodowej jeszcze nie ma, schody prowizoryczne z desek. Idę za nim, dochodzę do pierwszego piętra - i w okno, przez rusztowania do góry wykażę: "Dziewczyny, uciekłam!". ~~Idę~~ Dom stał na rogu, biegnę do drugiej klatki schodowej, ten rąbek ściągam, daję jakiejś dziewczynie ("schowaj sobie gdzieś w majtki!"). Ten zszedł na dół, odwrócił się - nie ma baby!

Nie przypuszczałam, że ucieknę na górę. Stolarskim ołówkiem podmalowałam sobie brewki, chustkę na łbie zawiązałam mocno, żeby włosów nie było widać. On biegnie na górę, tam już sznurki naciągnięte - nie wolno chodzić. Stąd rzucam kawałek deski i...matem pięciopiętrowym obzywam go! Czy ślepy? Czego tutaj lezie, jak dostanie po łbie, to będzie, że przez złośliwość. Patrzy na mnie, nie poznaje (szukał blondynki), pobiegł dalej, złapał jakąś, przyczepił się. Tamta słabo mówiła po rosyjsku. całkiem inaczej niż ja, do płaczu doszło. Żołnierz widzi, że to nie ja jednak. A wszystkie miałyśmy numery! Nie zauważył, jaki noszę. Całe popołudnie chodził, do wszystkich zaglądał - zginęła baba! Ale idziemy do domu, tu się odegra. Staje w pierwszej piątce (śmiech), jest nas ze 150, każdej w oczy zagląda. Zginęła!. Do bramy wchodzimy, znów staje i każdej w oczy zagląda, stoję bezczelnie w pierwszej piątce i nie poznał mnie. Jeszcze jakiś czas chodził, później ich zmienili. Wyglądaliśmy podobnie.

Kiedyś wychodzimy do pracy. Dali jakichś chamów. Mieli oni krótkie kozuchy trzywierzciowe oraz długi kozuch do ziemi na wartość, żeby nogi zakrywał. Mieli coś dwa takie kozuchy. Stoimy już na drodze rzuca nam te kozuchy na głowę - musicie nieść! "Nie poniesiemy!" - rzuciły, awantury, krzyk. Przychodzimy do pracy. A już zmienili nam inżyniera, był Rosjanin (ci inżynierowie może byli karnie kierowani ale więźniem taki nie był, jego pomocnicy-technicy - tak). Przychodzimy więc z krzykiem i awanturą, inżynier stoi, zawsze lubił ~~przxxx~~ przyjść wcześniej. "O co chodzi?" Opowiadam, że konwój bezczelnie rzuca nam kozuchy, żebyśmy niosły. Niech sam niesie, taki zdrowy chłop, skoro to jego - kozuch czy karabin! To jego rzeczy, nie nasze! Potem nie mamy się do pracy! A inżynier na to: "Tak? Nie dać im drzewa do palenia. Taki kawałek drzewa to jest m a t e r i a ł, nie drzewo. Zakazuję! Materiału ani kawałka nie wolno wam ruszać z obiektu. Ja za to wszystko odpowiadam, to wszystko kosztuje, to się

sprowadza z Sachalina - nie wolno!" A jak mieli wachtę, zawsze sobie żołnierze kazali dawać na ognisko, nigdy nie było problemu, bo na budowie zawsze takie kawałki są. Teraz łazili, szukali jakichś kawałków - ale poza placem budowy. Taki był solidarny w stosunku do nas (a też był dobry drań, jeszcze o nim opowiem!), co dzień przychodzimy do pracy, on już jest: "Zmienili żołnierzy?" - "Nie" - "Ani kawałka drzewa!" Jak powiedziałyśmy, że zmienili, to: "Dajcie im, niech mają". *Roman Strużkowski*

Było więc tak i siak. Zanim przyszedł on do nas, zabrali pana ~~Sz~~ Władimirowicza, mówią, że przyjdzie inżynier, którego na męskiej budowie chcieli zabić, jakiś blokiem rzucili, nie trafili; wredny jakiś podobno. Nam się to nie bardzo podobało. Ale z babami nikt nigdy nie wygrał! Nawet na Kołymie. Teraz Brygadzystką była Walentyna Szydło z Białorusi, 25 lat wyroku. Opowiadała, jak to ~~do~~ ~~xxxx~~ fajnie się bawili przy Niemcach, jak to dobrze było, więc za to "dobrze" później musiała być kapusiem, musiała odkupić swoje winy. Jak był ^{Rem} ~~Grzegorz~~ Władimirowicz, to tak: brygada jest, ale "zwieno" murarzy, "zwieno" tynkarzy, zbrojarzy, stolarzy - i w każdej grupie jest starsza. Inżynier przychodził i mówił, że to i to będziecie robić (do starszych). Wiedział, że Walentyna jest do niczego, orientował się, po co ona jest. Miała 25 lat, Komsomołka, wiadomo było, że to podły człowiek, trzeba było obchodzić. Absolutnie nie znała się na pracy na budowie. Jak przyszedł ten nowy, do brygadzystki mówi, że w klatce schodowej trzeba zrobić jakieś zabezpieczenie. Ona do nas: "Musicie zabezpieczyć tę górę". Jak zabezpieczyć, to ~~xx~~ prowizorka (żeby ktoś nie wpadł) i zrobiłyśmy taką prowizorkę. No i pioruny, grzmoty - kto to robił? Przychodzę. "Ja to robiłam". A był u nas dopiero parę dni. On pięciopiętrowym matem, wulgarnymi wyrazami - co to za robota, ja was wszystkich rozgonię! Ja na to: "Tak? i na niego dziesięć razy większym matem! (A dom już wybudowany, klatki schodowe zaczynamy, dachy pokryte) On stoi niżej, ja wyżej troszkę nad nim: "Wy nas będziecie rozganiać? Myśmy postawiły dom aż

po dach od fundamentów! Nie podskakujcie tak! " I matem na niego, a taki ciesielski toporek zawsze miałam, sama sobie wszystko ostrzyłam i do niego jak tygrys z tym toporkiem! On biegiem w dół, ja za nim. I jazgot, i krzyk! Jak już byliśmy wśród ludzi, on chce rozmawiać - przy ludziach. Już mu ktoś beton na głowę rzucał, to wiedział że z więźniami to nie taka prosta sprawa, nikt później nie udowodni, co i jak spadło (...). Były wypadki, że i rozbrajali i uciekali, ale zawsze wszystkich potem wyniszczano. Baby tego nie robiły, bo one słabe były. Ale baby miały różne sposoby, oni bali się nas. Teraz rozmawiam z tym panem. Pytam, do czego to ma być? Złe zrobione? Komu mówiliście o tym? - "Brygadziście". - "Wiecie, od czego u nas jest brygadziśka? (stukanie) Od tego! A nasz inżynier to wiedział, że jeśli "zwieno" stolarzy ma coś zrobić, to wołał starsza i mówił co. I nigdy nie mówiono, że źle coś zrobiliśmy". A zawsze powoływaliśmy się na pułkownika Wasiliewa: "Proszę zapytać, czy u nas było kiedyś jakie nieporozumienie w pracy!" - "To ja wam muszę mówić? A brygadziśka?" - "Brygadziśka jest hapuś!"

Za dwa dni już baby nie było. Zakatwił to cicho, gdzieś ją przerzucili (...). "Kto będzie brygadziśką?" Była taka ^{litwinka} bucynka, znała się dość na stolarce, rosyjski język znała trochę, czytać i pisać nie umiała. Ale była kantorka, dwie baby, Luboczka i Katia, które to wszystko zakatwiały za nią. Niby była brygadziśka, ale dla pucu. Normalnie pracowała, jak każda.

Ten pan był bardzo wulgarny! Raz trzeba było zrobić zalew z betonu, taki taras. Już zima była, musiało to być ocieplane, na umocnienie potrzebne takie rejki (?). Do ocieplania już wszystko gotowe - i nie możemy z tym się rozkręcić. Same najlepsze tam poszły do roboty, Janka poszła, ja poszłam, jeszcze parę Litwinek, które znały się na tym. On przyszedł nam pomagać, bo to trudne. No, próbujemy tak. "Niet, dziewczki, ~~tak ch...o~~ tak ch....o". Może tak? "Niet, tak ch...o(?)". I przeplatanka: raz tak, raz siak. Spozieramy na

siebie, czy chce nas obrazić. Ale on już tak wychowany, dla nich to nic! (...) Taki był cham. Zawsze do mnie mówił: "Ty sierdzita jesteś, ^{du} dobry robotnik, ~~nie~~ sierdzita!" Kiedyś rano mamy coś do zrobienia. Mówię: "Proszę mi dać plan". On, że mu do czegoś potrzebny. "Narysuję ci na kartce". Narysował i pomylił osie. Tam gdzie litery dał cyfry i na opak. Ale planu nie widziałam, robiłam według kartki. Ktoś przychodzi: to nie tak ma być. "Jak to? Jaroma (tak go nazywałyśmy, jakie nazwisko chlera go wie) mi tak pokazał, mam kartkę od niego!" Idę do kantorki, siedzą baby, inżyniera nie ma. "Pokażcie mi ten plan!" Pokazują. "Popatrzcie na te kartke, on mi wszystko odwrotnie narysował. Cały dzień to robiłam, a teraz trzeba to będzie rozbierać i inaczej robić?" Nawyzywałam się tam jak tylko potrafiłam, a potrafiłam dość dużo (...). "rozy cały czas, przyłożysz palec do gwoździa, palec przymarza, w rękawicach gwoździe nie utrzymasz). Przyszedł potem, baby mu powiedziały - uciekł. Naza jutrz to przerobiłam, za dwa dni dostajemy 100gram chleba więcej. "Minęło kilka dni, przychodzi: "No i cóż? Ty sierdzita taka była! No, każdy może omylić się (...). Ale procenty wam dopisałem, dostałyście chleb". - "A wy byście spróbowali tych procentów nie dopisać!" - wiecznie pyskowałam. On raz matem, ja na niego dziesięć razy. Może i nie robiło to nam nim wielkiego wrażenia, ale wiedział, że pokorna nie będę.

Zabrali od nas pewnego starego człowieka, który nam przynosił, kupował, sprzedawał. Uważali że mamy za dobrze, taka łączność. Dali szczeniaka, który wczoraj skończył technikum. Przyszedł do pracy. Patrzymy: ooo, zmiana na stanowisku technika! Inżynier nie był z tego zadowolony, inżynier nie zawsze jest na robocie i nie wszystko musi pokazywać, ma techników do pouczenia. "My sobie z nim poradzimy, nie bójcie się" - "Ja was znam, wiem, że sobie poradzicie." Umawiamy się, my baby: każda do niego będzie z każdym gównem chodzić pytać, jak i co ma zrobić, niech tłumaczy. A on roboty takiej nie

znał. I wieczne awantury, robota nie idzie (...) wiecznie mu dokuczamy. Miesiąca u nas nie wytrzymał, biedny komsomolec.

Raz idziemy do domu i jeden z żołnierzy jest pijany, idzie skrecony, wymiotuje. Już ~~kamrat~~ kamrat wziął od niego automat, ten został gdzieś z tyłu. Nas przyjeleli do obozu. Poszli do koszar. Jeden dzień cicho, na drugi dzień włóczę się gdzieś po barakach, poszłam do kogoś. Przychodzę, a baby krzyczą: "Ty gdzie łazisz? Sędzia śledczy wzywa ciebie!" Nie mam czasu pytać o co chodzi, nikt mi nie tłumaczy, że nie ja pierwsza... Myślę, cholera, zostało mi tak niedużo do siedzenia, z półtora roku, a tu raptem sędzia śledczy ni z tego ni z owego. Wyrok mi się, kończył w 54 roku. Przychodzę. Zaczyna się śledztwo: za co siedzę, kto w domu, jaki wyrok, z kim sądzona, co zrobiła - gada, gada - wygląda to jak wznowienie śledztwa! Z namysłem wielkim odpowiadałam na wszystko, żeby coś niepotrzebnego nie powiedzieć. Pyta, ile jest Polek na kolonii. "Nie wiem". - "Jak to, tak was niedużo i nie wiecie? Nie znacie?" - "Znam. Pani Jasia, pani Zdzisia (ja zawsze per pani, zresztą oni też tak mówili), pani zosia, pani Czesia - wymieniam te wszystkie panie, które jakoś "błyszczą paniami". (...) Nie będę wszystkich przecież wymieniać, a zresztą... I zaczynam "po matuszkie" : że wszystkie baby jednakowe, jak przyjdę z pracy to mi wszystko jedno, czy ruska przy mnie siedzi, czy polska, jestem zmęczoną, głowa mnie boli, muszę się umyć, wyspać, odpocząć, baby mnie nie obchodzą! I matem mu. Nie mogę jeszcze zrozumieć, o co mu chodzi. Tam były jakieś sprawy, jakieś listy podłapali, jakieś sądy, po 25 lat dali... Myślę, może jakaś idiotka list pisała albo co? Jakoś się trzymam. Wreszcie on mówi: "A u was wczoraj w pracy na obiekcie kto był?" Acha, myślę, o tego żołnierza chodzi i mówię: "Zaraz, muszę pomyśleć. Brygadzi-
stka kłóciła się z naczelnikiem konwoju, bo chciał, żeby mu dać ludzi do zapretnej zony, nie chciała dać, bo normy nie możemy wyrobić (...)" - "A co jeszcze?" - "Jeszcze kłóciłyśmy się z naszym technikiem

bo nie było jakichś narzędzi..." - "Co jeszcze?" " "Nie wiem, może jeszcze coś było, ale nawet ciekawe baby nie mogą wszystkiego wiedzieć, bo obiekt duży, a ja głęboko w transzei pracowałam (...)" - "A konwój pijany był?" - "A konwój czy pijany czy nie, ja jego nie niuchała i z nim nie piłam. Nie wiem". - "Spasiba" - i koniec rozmowy. Później okazało się, że 10 osób już przesłuchiwali. Mógłby dostać wyrok.

Przychodzi zarządzenie: zabierać się nam z naszego obozu, będą nas przetrzucać do innego. Były różne domysły, różne gady. Wyszled- dlają nas 7 km od miasta wąwozem, kotlina, rzeczka. Są tam jakieś magazyny żywnościowe, duży garnizon. Trzymali konie, krowy, ogrod- nictwo było, bardzo duży obóz. Siódmy kilometr. Zabieramy się z rze- czami, przewożą nas tam. (...)

W obozach na matieriku już pod Brackiem wiadomości z obozu do obozu chodziły różne, wieści, listy. Kto to robił: święty Mikołaj, ochra? żołnierze? W każdym razie wiadomości krażyły. Ale już na Ko- zymie - setki kilometrów nieprzejezdnych dróg, a zawsze wszystko było wiadomo! Jeszcze zanim nas zabrali, dochodzą nas wieści, że do nas przywożą - był rok 52 - tych niedobitków z powstania z Nary- lska, a nas na ten ~~13~~ kilometr. Jeszcze na budowie dostałam gwoź- dzie długie, 25 cm, grube, stalowe. I ani jeden nie był nigdzie wbity na budowie. Wszystkie przerobione na noże! Wyklepałam nożyki, zostawiając główkę gwoździa. Gwoździ ze szpar nie wyciągali, noże zabi²rali. Gwóźdź w ścianie siedzi, nikt go nie rusza, po co sobie ręce kaleczyć. Nawet jak robili wielkie rewizje, gwóźdź w ścianie siedział. Całą skrzynię, z 15 kg tych gwoździ, przeciachałam na no- że wyostrzone jak żyłki, cieniutkie, bo to i do manicure i do wszystkiego, do prac ręcznych jako nożyce służyły. Mówię: "Słuchaj- cie, zostawmy tym mężczyznom trochę tych noży. I te "gwoździe" powpychane w szpary tan zostały.

Z czwartego kilometra to przeważnie chodziliśmy do pracy,

a z siódmego do tej samej pracy już nas wozili. (UWAGA ⁴/₇₅ kilometr to chyba przejeżdżenie, patrz poprzednia strona) Było bardzo zimno, dużo ludzi zasmębiało się. Wrzody bez przerwy. Całe ciało mam jak gwiazdami usiane bliznami po wrzodach. Umierało nie tak dużo ludzi, były wypadki, ale oni tam chyba wysyłali młodszych, odporniejszych. Wozili nas autami ciężarowymi (...) Jeszcze zanim nas wywieźli z obozu na czwartym kilometrze, patrzymy raz : bramę, wjeżdża miejski autobus. Tego u nas nigdy nie było. Od razu złe przeczucie. Okazało się, że nasze auto zaczepił bokiem jakiś pijany kierowca przy mijaniu. Kilka osób zabitych, kilka pokaleczonych, straszna makabra. Przejedźdzał autobus miejski i żołnierz kazał wszystkim wsiadać i wsadził do niego więźniarki. Jak to wjechało, jeden szloch był w obozie (Prac), tyle ludzi poginęło, tyle kałek... Do jakiegoś większego ^{szpitala} ~~wiasta~~ ich dowozili, trzeba było pomocy chirurgicznej.

Zbuntownicy z Norylska byli różnej ^{narodowości} narodowości, Litwini, Polacy. Spotykaliśmy ich w drodze. Oni bez numerów, pytany, konwój wrzeszczy, ale gęby wszystko jedno nie zaklei, a oni się nie bali. Ale ich powoli, powoli wykańczali. Napchali ich do tego naszego obozu bardzo dużo, parę tysięcy, ale chyba ich stopniowo rozstrzeliwali, część może wysłali na jakąś Ziemię Fr. Józefa - zaczęło to topnieć. Wsadzili wśród nich dużo kapusiów, i to oficerów radzieckich. Z powrotem nas wycofano na czwarty kilometr, bo stamtąd jednak chodziliśmy do pracy, a stąd transport był konieczny. Na siódmym był bardzo stary obóz, później tam zrobili dom inwalidów. Było tam kilka nowych baraków, specjalny izolator za drutami oddzielnie. Ich tam znowu przywieźli. Przed naszym powrotem żołnierze drapali szkłem deski, prycze, stoły, taborety, bo było bardzo dużo napisów, wiersze pisane po polsku. Był wiersz po polsku, już go dziś nie pamiętam, ale tam były i łąki i pola nasze i Ostrobramska, i wszystko. Były po litewsku, polsku, ukraińsku - niektóre ^{napisy} (zostały powycinane bardzo głęboko, widocznie naszymi nożkami...

Wróciłyśmy. Był u nas żydek, zaopatrzeniowiec. Ja tam za szara by-
łam, żeby z nim rozmawiać, ale z paniami, które pracowały gdzieś
w przychodniach, stołówkach, on rozmawiał. I tak mówił: "Co za na-
ród! Oni każdego potrafią przekonać o swojej racji. Maja argumenty
nie do podważenia (o/skuszności buntu)". Wywozili ich po kilku (na
śmierć?) i powoli topnieli, coraz mniej tych ludzi było. Nazwisk
nie znam, w ogóle mało nazwisk pamiętam. Zresztę, czy tam każdy
pod swoim nazwiskiem siedział?

Raz dziewczęta mówią, że mamy jakiegoś chłopca u siebie, męż-
czyznę nam podkwaterowali. W dzień wychodzi do pralni, na kuchnię,
ale kiedy przychodzimy z pracy - zamknięty w izolatorze. Ma tam
piec na drzewo. Nikt na razie nie wiedział, kto to. Ale poczta pa-
ntoflowa chodziła... Przede wszystkim kierowcy, którzy przyjeżdża-
ją do jakiegoś punktu, NKWD bierze od nich auto (...) a ich do ba-
raku na odpoczynek (...). Po paru dniach dochodzi nas wiadomość,
że na siódmym kilometrze wśród tych więźniów z Morylska zaczęli po-
dejrzewać, że (nasz chłop) to kapuś. Jakiś pułkownik rosvjski.
Kiedy szedł do ubikacji, kilku chłopów za nim i chcieli go wpako-
wać w kloakę. Ale narobił krzyku, jakoś im się wyrwał, podbiegł do
strażnika z wieżyczki. Zabrali go stamtąd i przewieźli do naszego
obozu męskiego, do szpitala położyli, że niby z tajgi chory. Ale wi
wiadomość za nim poszła, że to kapuś leży i namawiaja sie podobno,
że go zabiją. Musiał się jednak zasłużyć, skoro go tak chronili.
Więźniowie dogadali się ze służbą szpitalną, ale był tak cwany, że
na uos zamienił się miejscami ze sparaliżowanym człowiekiem, który i nie
chodził i nie mówił. I ci dorznęli kalekę w przekonaniu, że to ten
kapuś. Więc jego do naszego kobiecego obozu, bo gdzieby nie poje-
chał do męskiego, zawsze pójdzie za nim ta wiadomość. (...) Bo już
tak było na Kołymie, że żeby nie wiem jaka odległość, zawsze mieli-
śmy wiadomości. Był więc u nas, ale bardzo szybko go zwolnili. Za-
służył sobie na to. Znów wiadomość (...) że go ktoś widział w Maga-
danie. Później ucichło. A kiedy stajały śniegi, znaleziono 70 go gđzi
es

zaszlachtowanego, pod śnieżkiem przez zimę przeleżał. Dopadli go jednak, wolność go nie uratowała (...).

Kapowanie. Tu chodziło nie o kradzieże, ale o to, co kto mówił. Dodawali za to wyroki. W naszej kolonii były wszędzie głośniki, miejscowe radio: wiadomości i przeważnie muzyka różna. Ale wiadomości, ~~te~~ wiadomo, co oni klepali: w tym roku zbiory większe, bogatsi jesteśmy itd. Była u nas Białorusinka, jakaś mizerota z Zachodniej Białorusi (...), raz siedzi i gada (nie każdy potrafi się opanować): "A cholery, znowu więcej macie a z gołym tyłkiem chodzicie, a głodni, a chleba od urodzenia do śmierci się nie nażreć, zawsze głodni jesteście" - siedzi baba i gada. A ^{na} gajgorsza była ta ich inteligencja, te komсомоłki, które siedziały za jakieś tam szwindle, za nie wykonanie (planu). Jedna z nich poszła do sędziego i powiedziała, że Paulina (tak Białorusince było na imię) powiedziała to i to. Pokazowy sąd w obozie - i ona dostaje 25 lat! A już kilka lat odsiedziała. Dziewczyna dostała pomieszania zmysłów. Tam jak ktoś mówił, to musiał dobrze oglądać się. Jak ktoś podsłuchuje, to jak najnieprz przyzwoitsze kawki! Kapuś się odwróci, idzie : to nic interesującego, bo cały kraj to gada. Nie było tej Pauliny parę miesięcy, musiała być gdzieś w szpitalu na leczeniu. Przyjechała już cicha i spokojna (...). Czasem z człowiekiem innej wiary i narodowości można było znaleźć bardziej wspólny język niż z niejedną idiotką naszą. Idziemy Paulinę odwiedzić. Paliła, więc przynosimy jakieś skrety. Co słyhać? Nie bardzo nawet nam umiała nam powiedzieć, w jakim ~~wz~~ szpitalu była. My do niej: "Słuchaj, tylko ty teraz nie daj się wyprowadzać na robotę! Jak będzie powierka, to nie stawaj w stroju, gadaj swoje, nic ci już więcej nie zrobią. Masz już te 25 lat i na 50 ich nie przerobisz!" Tak ją uczyliśmy i tak robiła. Przy wychodzeniu do pracy było tak, że nie tylko nasza generalicja, ale i jakieś delegacje staną, takie gady. Tu wychodzą niewolnicy do pracy,

a oni stoją, przyglądają się. Ona wychodzi, zaczyna od matuszki, pcha się, chce wyjść, rozmaicie. Wszyscy wiedzą, że nienormalna, gonią ją. A ona na Rosję, na Lenina, na Stalina, na cały rząd! „Aha, sumaszetsza!” (...) może mówić ile chce. Uczyłyśmy ją. (...) Jak Stalin umarł, oddzielili nas od tych z wyrokami po 25 lat, ona tam została. Nie wiem co się z nią stało.

Kapusie donosiły też, gdy ktoś pisał do kogoś jakieś kartki, ktoś komuś coś sprzedawał, przekazywał, miał łączność z wolnymi. Przecież oni każdego podejrzewali, bali się wszystkiego. Każdy z nas wiedział, kto to jest, stosowaliśmy przeważnie bojkot towarzyski (...). U nas była raz jedna, o której wiadano, że donosi. Raz siedziemy w baraku, zimno było, raptem patrzymy, kilka bab wchodzi na jej górą pryczę, zaczyna babę wałkować, tłuka, biją, zrzucają z tej pryczy. I ona boso, lekko ubrana, na wachcie uciekała. I już do baraku nie wróciła, wysłano ją do innego obozu. Ale so dostała to dostała, stłukły ją na czarne jabłko jakimis drewniakami (...). Kapusia wystrzegałyśmy się, ot, o dupie marynie (przepraszam) przy nich się gadało.

Przyjeżdża kiedyś komisja z Moskwy. Ja pracowałam jako stolarz^z, robiłyśmy formy z desek do zalewania betonu (...) Siedzi się wysoko, wiatr gwizdże, zimą tam też 10 godzin pracowałyśmy. Miałam wojłoki złe, ciężkie, każdy z 8 kilo waży, podszyte oponą obuwie. A magazyn opanowały Ukrainki, same swoje, nikt nic porzadnego nie dostanie. Pracowałyśmy 10 godzin, godzina drogi do pracy i z powrotem godzina, w sumie 12 godzin, dwie zmiany. Brygadzistka jak dostanie w łapę, to może pójść do magazynu, wybrać lepsze wojłoki, bo stare znoszone, wymoczone, ciepła już nie mają. I ta komisja przyjechała, jakiś generał Panie Boże odpuść. Pażą, chamy, po barakach, pytają. Sam pan generał pyta, jakie mamy skargi. Myślę sobie, poczekaj chamie, nie będę się skarżyć, ale sobie z tobą pogadam. Tak po naszymu. I zgłaszam się. Chyba z 3 osób ich było. -"Słucham" . Mówi-

łam dość dobrze po rosyjsku, bo i pisałam i czytałam, ale zaczynam kaleczyć: że ja, stolarz, "wysokołaz", mam wojłoki - i zaczynam określać matem jakie ~~ukazy~~ ch....e, a robota chynowa (?), że jak muszę wyłazić, taka mać, inni mają, ja nie mam, a czy ja źle pracuję to może spytać (I powołuję się na płk. Wasiljewa, wojłoków dostać nie mogę. I ścielę mu matuszką, a on tylko oczy wywala, patrzy: "A wy kak wyrażejecie się?" A ja z durną mordą: "Jak? Naczelnik na kolonii mówi tak, na rozwodzie oficer dyżurny, naczelnik konwoja, żołniers, inżynier na robocie, matkie kobiety, od których się ucę wszyscy źle mówią? - pytam go. "A wy kto?" - "Ja Polka jestem" - ~~ukazy~~ (i myślę, o, chamy!). A ci patrzą, jak on to znosi, ~~ukazy~~ jak baba mu matem sypie. Zbaraniaż. Odwrócił się do naczelnika kolonii: "Jutro żeby ta kobieta miała nowe wojłoki!". Oni wyszli, a komsonokki siedzą, taka klika, inna brygada i mówią do mnie: "Jak możesz! Ty przecież tak dobrze mówisz po rosyjsku! Do tak wysokiej rangi oficera z takimi słowami!" A ja: "A widzisz, ty byś spróbowała mu choć pół tego powiedzieć, co ja powiedziałam, to byś zgniła w pierdelniku, a ja wojłoki dostanę jutro!" (---)

izolator

Zjawia się u nas w brygadzie pani Tażukina, wysoka wiotka dziewczyna, bardzo młoda. Budujemy dom administracyjny w więzieniu. Więcej ludzi dają, na to jest. Cele były różne, ale były też takie pojedynki, że człowiek mógł tylko stać. Jak to w NKWD. Taki izolator robiliśmy też w koszarach dla żołnierzy, którzy coś przeszkrobali. Tam celki doskonale jak trumny, makabra. Ciarki nam po skórze chodziły jak to robiliśmy. Z grubych betonowych ciężkich bloków układano mur. Na razie robili to kobiety, potem to wykonywali mężczyźni. Teraz robili garaże obok. Zjawia się ta Tażukina, Rosjanka, i mówi, że ona potrafi 150 i 200 procent normy wykonać. Miała 25 lat za włączenie się z marynarzami-inastrancami. Polityczna była, pochodziła gdzieś spod Leningradu, chyba współpracowała z Niemcami.

Przywieziono ją późno, może w 51, 52 roku.. I zaczęła te błdki wozzić na taczkach. Pewna Ukrainka, Justynka, mówi: "A co, ja też potrafię!" Jeden dzień potrafiła. Ale baby wzięły ją wieczorem w obroty: "Słuchaj, potrzebujesz to robić? Za co siedzisz? Zapomniałaś? Teraz musisz zachorować, źle się czuć i koniec z przodownicą!" A Tałukina pracowała tak może z miesiąc ponad normę, coraz mniej, coraz mniej mogła wozić, coraz gorzej się czuła. Coś w niej musiało pęknąć, coś się oberwało, zaczęła chorować, żółknąć, schnąć w oczach. Dostała zwolnienie z pracy, chodziła po obozie i krzyczała, że jak pracowała, to jakiś placek dodatkowy dostała, a teraz nikt jej nie zauważa, nikt nie da. Bardzo dokuczliwa była, myśmy się z niej śmiały (...), gdzieś ją wywieźli. Myślę, że długo nie żyła, bo wiedka w oczach.

Mężczyźni wykańczali więzienie, my teraz niwelowałyśmy grunt wokół domu administracyjnego. Moją rzeczą było zrobienie z desek drózek dla taczek. ~~Ktoś~~ Coś trzeba było zabetonować, inżynier dał do pomocy mężczyzn. W męskiej brygadzie brygadziście był Michał Chorąży, bardzo sprytny młody Polak, Przysłał do nas dwóch mężczyzn, muszę ^{pomoc} przykrycie na beton zrobić (...) Za chwilę biegną do mnie baby z krzykiem: "Sławka, ten czarny zabiera nam deski z trepu!" - "Jak to?" - "Chodź, zobacz!" Istotnie zabierał deski z drózek, bo były szersze. "Patrz, tam kupa desek!" - "Ale te szersze - Jak ci zajadę w żeb, to ci się jeszcze poszerzą!" Ten na skargę do Michasia. Biegnie Michał, ja swoje: "Szerokich chcesz? Tak tobie pilno do tych szerokich? A nam to niepotrzebne?" - "Ja muszę na chleb dla ludzi zarobić?" - "Taak? I na popicie dla swoich robotników musisz zarobić, bo chleb to mało. A my miałyśmy po 300gram jak się budowało". A Michał ^{ty} "Nie zapomnij, za co ty siedzisz!" - "Jak rąbnę ciebie toporem, to i tak mnie sądzić nie będą, bo nie jestem odpowiedzialna za swoje czyny!" A w 39 roku sześć osób zabiło, ja byłam kontuzjowana w głowę. U Rosjan, jak ktoś był z frontu kont

tuzjowany, odnosili się do niego łagodnie, trzeba mu było ustąpić. Zawsze mówiłam o tej swojej kontuzji i z tego zawsze korzystałam. I tak z Michałem pożarliśmy się.. On tam miał babę ruską, meble dla niej robił, a ona już się z jakimś enkawudzistą umówiła i jak przyszedł koniec wyroku Michała, to go gdzieś wywieźli w głąb (Arkachan-ka? D2? Biełyje Krysty? Ziemia Franciszka Józefa?). Często nas tym straszili, młodych tam wywozili. Jego ta dziwka tak urządziła, to on był bardzo młody akowiec, rok 54, wiosna.

Była u nas Gruzinka, ^{lekarka} bardzo piękna kobieta. Zachorowałam, ^{w pracy} dostałam dreszczy, położyli mnie do szpitala. Miałam wysoką temperaturę, byłam ciężko chora. Ta pani była anielsko piękna i bardzo ^{dobry} ~~chora~~. Później samolotem do Moskwy ją zabrali, było jakieś wznowienie sprawy. To było na 4 kilometry. Przy mnie w szpitalu leżała inna Gruzi- nka, zniszczona, wychudzona, kob (przeciw robactwu) wygolony. Przed miesiączką dostawała szoku na punkcie mężczyzn. (...) Gdy posłysza- ła męski głos, dostawała furii. Zapędzali ją do worka z materaca (kartanów bezpieczeństwa nie było), zawiązywali na szyi, przywiązy- wali do pryczy, kulaka się - nieszczęśliwy człowiek. Nie miała lek ków, później leżała całkiem nieprzytomna. Takich zaburzeń dużo było. ale ta w bardzo wysokim stopniu je miała. Kiedyś jakiś młody żoł- nierz wszedł na korytarz, ona także, ^{na} straszna ~~ona~~ twarz, ogolona, i niesamowicie wyglądała. Rzuciła się na niego, obkapiła za szyję - w gaciach i koszuli męskiej. On nie wie, kto to, chce ją odepchnąć, ona go trzyma i wymawia imię o brzmieniu gruzińskim swojego męża czy kochanka. Ten wystraszony, rzuciliśmy się wszystkie na pomoc le- karce, żeby tę parę rozłączyć. Innym razem dostała ataku i lekarka wpakowała ją do pustej szafy na korytarzu. Zaczęła się rzucać, wys- traszona (...). Ta lekarka to był dobry człowiek. Po niej przywieźli doktor Woroninę. Bardzo przystojna, kulturalna osoba. Miała coś 10 lat, kończyła wyrok, za coś jej dopisali 3 lata. Wyrok znów jej się kończył, a trzymali dalej - miesiąc, dwa... Nerwowo nie wytrzymała, otruła się.

Nasza brygada robocza dostaje subłkatorkę. Stoi w baraku szeroki piec z cegieł. Przychodzimy z pracy, a za piecem stoi niska prycza. Patrzymy, przychodzi jakaś lalunia. Była to Łotyszka, Niemka czy Rosjanka z pochodzenia, ekstra numer. Pomocnik naczelnika reżyma, straszny sadysta, wredna morda, paskudny człowiek (z nią się skumał). Pracowała gdzieś w obozie, zdzira. (Potem go puściła w trabę jak wyszła z obozu i mścił się na więźniarkach). Po przyjeździe z pracy i jedzeniu wyganiali nas liczyć. Stawałyśmy w piątkach, im się wciąż coś nie zgadzało, liczyli raz, drugi raz, na deseczkach piszą ołówkami stolarskimi, czasem to szkłem zeszkrobą, bo papieru nie mieli. Ktoś nie wytrzyma, jak nie mogą się doliczyć ("Cieszcie się, że nie jesteście w kołchozie, bo tam by wam świny nie stały x po pięć, przez pięć lat byście ich nie policzyli..."), to już na złość trzymają (...). Jak zdzira zamieszkała u nas, to ten pan wpa-
niałomyślnie liczył nas w baraku, tylko stanąć musiałyśmy. A postać godzinę na tym mrozie, to cholery można było dostać, czasem coś mokre, wiatr dmucha. My stajemy przy pryczy. Wychodzić nie jest w naszym interesie, przez jakiś czas miałyśmy spokój przez tę zdzirę. Jak wychodziłyśmy do pracy, to baba miała wolną rękę, barak pusty.

Raz nie wyszłam do pracy, a zwolnienia nie miałam. Właśnie wtedy generalicji się zebrało każdego, kto jest w obozie - legitymować. A za zostanie już izolator, jeśli nie ma zwolnienia. Ale jakaś robota wredna była, źle się czułam... I akurat! Naradczycyca Wiera z Moskwy (wcześniej była dniewalną u nas) trochę mnie znała, bo kiedyś wzięła mnie za Niemkę. Niemki dostały jakiś liścik, ona podchodzi i mówi: "To chyba wasze?" - "Nie moje". - "Bo wy zawsze z Niemkami". - "Tak jakoś wypadło". Bo ~~zawsze~~ wolałam być z Niemkami i Litwinkami niż z Ukrainkami. Teraz nie poszłam do pracy. Stoi nas grupka tych, co zostały, każdą legitymują. Ta ma zwolnienie, ta nie. Zaraz na mnie kolej, mówię w duchu "Pod Twoją obronę", a ona stoi przede mną i palcem mi pokazuje, że mam przejść prędko do grupki

już sprawdzonych. Cichuteńko przeskoczyłam i nie zorientowali się. Ale u nas była solidarność, jeśli cokolwiek było, to nikt nie wiedział, nikt nie słyszał. Pani Wiera miała po prostu dobre serce, nie miała innego powodu, żeby mnie chronić.

Przed śmiercią Stalina chodziłyśmy jeszcze z numerami, gonia nas do łaźni, łaźnia w mieście. "a dwie raty - rano i po południu. Idziemy, znów mam swój niebieski rąbek na głowie, a tu ów drań, który mnie szukał na budowie! "Acha, już ciebie pojmał!" Ja w tłum znów schowałam rąbek. Wracamy, każdej w ~~guz~~ żeby zaglądał, nie znalazł. To było drugie z nim spotkanie. Nie wiem, o co by mnie oskarżał, ale jemu by uwierzyli, nie mnie. Jak by powiedział, że mówią to, co ci mężczyźni wtedy, to 25 lat! Już po śmierci Stalina ów strażnik mnie spotkał i poznał. Już nie nosiłam numerów. Przyszedł: "To ty?" - "Ja. Ty głupi Iwanie, miałam trzy numery, a ty taki cep, że nie przyszło ci do głowy spojrzeć na numer. Szukałeś twarzy, a zawsze chodziłam w pierwszej piątce" Ale to już było po śmierci Stalina.

Rosjanka, ciocia Szura Nieczajewa, polityczna, miała romans z jakimś kierowcą (...) Szura mnie nauczyła, że bym do łaźni szła na drugą zmianę, zbierała na półkach kawałeczki mydła (bo mydła dawali na koniec palca). (...) Mąż Szury był gdzieś w kopalniach złota, w głębi. Jak zaczęli zwalniać ludzi (u nas zaczotów nie było, normy nigdy nie wykonywałyśmy), jesień, błocisko, pamiętam, idziemy z Szurą w pierwszej piątce - a tu naprzeciw idzie droga jej mąż, już zwolniony. Ona go widzi, on ją zobaczył, krzyczą jedno do drugiego. Ona pyta, skąd tu się wziął, on, że miał zaczoty, że go zwolnili i wyjeżdża gdzieś. Żołnierze rozganiają, paskudnych wtedy mieliśmy żołnierzy w konwoju. Gonili go, przyczepili się do tego człowieka, chcieli go nawet zatrzymać. Szła jakaś kobieta, ~~mi~~ podbiegła, wzięła go pod rękę i: "To mój mąż, czego wy chcecie, wypik to wypik, kakoje wasze dieło!" Szura mówi: "Dzięki Bogu, z"

że ta kobieta się zjawiła, widocznie zwolniona, bo wiedziała, jak się zachować.

+ XII

(UWAGA następuje powtórzenie opowieści o strażniku na budowie, który na próżno starał się Sławkę rozpoznać. Relacja z ostatniego z nim spotkania przeniesiona na str 20 maszynopisu)

W Nowy Rok 53 roku nadzorca, którego Łotyszka potem porzuciła, (...) urządził Sylwestra, zrobili przedstawienie, jakieś kolorowe kokardki, pieśni. Była jedna baletnica z Moskwy, z moskiewskiego teatru, druga śpiewaczka operowa (...) b, miła i mądra pani, która śpiewała jakąś rosyjską piosenkę. Dopisała sobie słowa "Kołymczanie Kołymczanie..." Nigdy w obozie tego nie było, żeby tak powitać Nowy Rok, to był jedyny wypadek. Jacyś mężczyźni grali na akordeonie, było bardzo miło. (...)

Pod koniec 53 roku chorowałam bardzo na szkorbut, w miarę upływu lat coraz bardziej mi dokuczał. Teraz też nogi mam plastrem oklejone, obandażowane. Nogi cienkie miałam jak piszczele, straszny ból w kolanach, w piętach, zbierała się woda, jakieś pęcherze. To było związane z awitaminozą. Nogi podkurczone miałam, bardzo wysokie ciśnienie, dostałam wylewu, nad okiem coś pękło, krew wylała się otworem ocznym. Miałam połowę twarzy czarna, granatowa. Bolała mnie głowa bardzo. Tam nie było nic poza termometrem. Ot, chorował dochodziaga, to dopiero jak umarł i go rozcięli, dowiedzieli się, że miał skręt kiszek. W bólu umierał, a posadzali go o symulację. Miałam zawroty głowy - ale tego się nie wytłumaczy! Nie masz temperatury, to nie jesteś chry! Ale jak mi to oko zalało krwią - to dopiero do szpitala położyli. W Magadanie chyba ze trzy miesiące leżałam. Miałam czas na czytanie, coś się przeważnie z klasyki rosyjskiej skombinowało przez szwalnię, przez wolnych. Jedzenie było takie samo, ale człowiek na nic nie zużywał energii.

Śmierć Stalina. Leżałam w baraku, wiedzieliśmy, że coś jest. Przychodziły dziewczęta, mówiły, że coś się dzieje. Muzyka żało-

na. Ze dwa dni nikt nikomu nic nie mówił. Na trzeci dzień przyszedli enkawudziści do baraku. "Uwaga, wstać". Pożłaziły z prycz kobiety, stoją. Mówią, że nie mamy się czego bać, zawiadamiają, że zmarł Stalin. Miałyśmy stać na baczność, a wyglądało to tak, że jedna się za uchem drapała, druga gdzieś indziej... Jedna z komsomołek, Rosjanek upadła na pryczę i "och", płacz straszny, ojciec zmarł. Jeden z enkawudzistów podszedł do niej i krzyknął po rosyjsku: "Da chwattit pritwaratsia!" (wystarczy udawania). (...) Wrzasnął na nią, skończył się lament. Za parę dni kazeli nam zdejmować numery, karano, jeśli ktoś go miał... Pozdejnowali kraty z okien (...). Przychodzimy do stołówki, a tam chleb, nakrajany na stole leży i ile chcesz tyle zjedz. Każdy je i jeszcze za pazuchę kawałek chowa. Dozorczynie chodzi i mówi, żeby nie brać, bo do pracy też przywieza obiad i chleb. Ale nikt nie wierzy, każdy bierze, chowa, suszy na suchary.

Trwało to ze dwa miesiące i znów dali nam normę 600gramów. Ale pojawiły się sklepiki. Zaczęli też segregować ludzi, tych z 25 latami zabierano do innych obozów. (...) Obozy były różne, również przy budowach były. Niektóre Polki pozostawały tam nawet i za mąż wyszły. Za Żyda wyszła, za Ukraińca.

Raz jeszcze leżałam w szpitalu w 54 roku. A na to oko (53 rok) to -jeszcze z pół roku byłam leczona. Już kiedy pracowałam, chodziłam rano i wieczór (do ambulatorium) i mi to czymś zakraplali, bo nie widziałam na to oko.

W 54 roku wczesną wiosną nas, z małymi wyrokami, zabrali znowu do obozu na siódmy kilometr. Było tam gospodarstwo rolne, ogrodnictwo, konie i krowy trzymane. Nasze wyroki kończyły się jesienią, zatrudniono nas w obrębie tego gospodarstwa. Na pole szło z nami najwyżej dwóch żołnierzy lub ktoś z gospodarczego. Nie liczyli nas, nie doglądali, reżim był lżejszy. (...) Z tymi z wyższymi wyrokami kontaktu nie miałam.

Kiedy przyszedł koniec wyroku (przedtem jeszcze byłam na remontach budynków gospodarczych),

zabrali nas na czwarty kilometr. Straszny był to obóz, nikt niczego nie pilnował, my w baraku blisko wyjścia. Dyżurna mówi, że tu będziemy nocować, jutro nas zabiorą. Ciemność, wygwizdowo, bałyśmy się, prosiłyśmy, żeby nas zamknęła na kłódkę (...). Całą noc nie spałyśmy nie wiedząc co nas czeka. Czy wyślą do pracy? Gdzie wyjdę, kto przyjmie? Tam trudno było gdzieś chodzić, bo rabunki, morderstwa.

Nazajutrz zostałam odwieziona do pomocy do domu inwalidów na 7 kilometr, dziewczęta na jakieś gospodarstwa. W starym obozie na 7 kilometrze był barak a w nim więźniowie, którzy o własnych siłach nie mogli się poruszać. Sparaliżowani, po wypadkach w kopalniach, z bezwładem nóg itp. Jednemu mocz cały czas ucieka, inny wypróżnia się tylko za pomocą lewatywy, trzeba potem myć... Pamiętam jednego, Piotr Iwanicki się nazywał, był mądry, pamięć miał dobrą. Jak miałam dyżur wieczorami, opowiadał. Miał kilka wyroków po 25 lat za ucieczki. Mam wrażenie, że posadzono go za pochodzenie polskie (rozmawiał po rosyjsku), potem się tej polskości chyba bał. Zniszczony i nerwowo wykończony. Opowiadał, jak uciekał z obozów (drugi raz na Kołymie). Mówił, że dwóch się umawia na ucieczkę, a trzeci^o biorą, nieświadomego, żeby go zarznąć i zjeść. A później: kto kogo. Mówił o swoich halucynacjach, jak został sam (zabił tamtych) w dzicy (...). Przejść w górach niełatwo, bo niedźwiedzie żaża; dojść do morza: patrole, wyrzutnie (...). Mówił, że dla tych, co uciekali, mieli oni specjalne karne obozy przy kopalniach. Prycze z okrągłaków bez pościeli, raz w miesiącu do mycia ich gonili, to czekali tego dnia i w łaźni wodę nalaną im do mycia pili, nie myli się. Podobno celowo im wody nie dawali, specjalnie utrudniali żywot, jak w więzieniu(...). O Kołymie ten ^uchry i bezwładny wspaniale mówił, to co opowiadał, było logiczne (miejscowości itp) Nie chciał mówić o rodzinie. (...)

W obozie było z 10 baraków, ale całkiem leżących, których trzeba było obsługiwać, bo nie potrafili się nawet załatwić, jeden.

Pracowały w nim trzy zmiany po dwie osoby. Jeden był mężczyzna w obsłudze, ja z nim pracowałam, Litwin, Marian ~~Ky~~ Wiżykauskas. Mógł być podoficerem, oficerem, w każdym razie z wojskowości. Zachowywał się jakby wszyscy byli rodzeni bracia. Trzeba było tych ludzi podmywać, obmywać, niektórzy mieli odleżyny do kości. Każdego Marian cierpliwie mył, zakładał opatrunki. A jak przychodziliśmy po dwóch dobach - znajdowaliśmy opatrunki nasiąknięte moczem. Lekarz był Żyd (UWAGA, szmoncesowy akcent opowiadającej), nazywał się pan Cierniawski, nigdy nic nie robił, ^{był} ~~nie~~ ^{alkoholikiem} zaglądał do chorych, nie sprawdzał obsługi. To byli ~~z~~ ludzie po wylewach przeważnie, leczenia nie byli, bo leków nie było żadnych. Marian poznawał po chorych, kiedy mieli atak wysokiego ciśnienia. Miał zawsze wysterylizowaną grubą igłę i spuszczał do słoika krew, co przynosiło ulgę. Bywały powtórne wylewy (...). Tam było kilku chorych Żydów, myślę, że kiedyś musieli być wysoko postawionymi osobistościami i Stalin ich na Kołymę wysiedlił. Niektórzy mieli rodziny. Całą "inwalidką" (zaopatrzenie, biuro) rządziło, oprócz tego lekarza, trzech Żydów. Mieli oddzielny domek. Przejmowali paczki. Niektórym chorym przysyłano paczki, a oni umierali.

W domu inwalidów pracowałam pracowałam już jako wolna, dali mi lżejszą robotę. Była tam jedna nasza dziewczyna, Jadwiga Łatawiec. Wyszła za Czecha na Kołymie. Był on kiedyś bokserem, stuknął kogoś (w Czechach) i uciekł do Polski. Ktoś mu poradził w latach trzydziestych, żeby uciekał do Rosji. Uciekł tam, przypisali mu szpiegostwo i został na ~~Kołymie~~ Kołymę zesłany. Uciął sobie rękę, bo był w strasznych warunkach, tak że tylko samookaleczeni przeżyli. (np. spali na mrozie w namiotach).

Było więc tych trzech żydków i ów lekarz, a kierownik, jakiś enkawudzieta, w ogóle się "inwalidką" nie interesował. Mieszkał gdzieś w mieście, dał im wolną rękę. Zmarł ktoś, to zmarł. Były skargi inwalidów na tego lekarza i przyjechała komisja, ale szukali

go na próżno, ukrywał się w domu, nie otwierał (...).

Jeden z pacjentów, Żyd (obustronny paraliż), straszna miał twarz i oczy, strach było patrzeć na tego mężczyznę wysokiego i silnego. Już tam na tych gnatach mięsa prawie nie było, gnaty trzeba było przekładać, obmyć, pod siebie robił. Na innych dyżurach go nie myto, więc miał rany otwarte do kości. Ukrainki z innych zmian nic sobie z tego nie robiły. Trzeba go było karmić (zresztą do karmienia było dużo ludzi), na ogół karmił go Marian, od czasu do czasu ja. Kiedyś zakładam mu ręcznik, żeby na niego nie ciekło, a on wciąż głowę podnosi. Myślę, o co mu chodzi? Patrzy, jakby chciał mi coś powiedzieć (a nie mówił) oczyma. Coś jeszcze przy tym ręczniku poprawiam, a on strasznymi ustami dotyka mojej dłoni i całuje ją. Czyli był przytomny... Dziwnie mi było jak pocałował mnie w rękę (załamanie głosu), bo widocznie rozumie człowiek, wie... Przed śmiercią rozluźnił się, potem zmarł. Marian mówił, że dostawał paczki od rodziny, przechwytywali je i odpisywali ci panowie.

Był tam Polak z wypadku na kopalni, Józef (nazwiska nie pamiętam), ale go szybko gdzieś zabrali. (...) Był Grek z pochodzenia, miał po odmrożeniach amputowane stopy, rany nie chciały się goić, kości mu wciąż wyłaziły - już był to człowiek nie do życia.... Każdy chciał, żeby przysiąść, porozmawiać, a czasu było mało. A ów Grek, jak dziecko dwuletnie, mówił, że jak wyzdrowieje, pójdzie do miasta i żadnego materiału na sukienkę mi kupi...

Był Ukrainiec po wylewie. "acznie coś opowiadać i zaraz płacze. Krywko. Palił, czasem jakiegoś skręta mu przyniosłam, to się cieszył. Długo nie mógł mówić. Opow^{ał}dał, że ma córkę sportsmenkę w reprezentacji Związku Radzieckiego.

Był człowiek z Białorusi bez obu nóg po wypadku. Wygoiło mu się to, był pogodny. Pochodził z okolic Mińska, jego żona była Polka, nawet po polsku rozmawiał. Tak chciał wrócić do żony, kochał ją! Nazwiska nie pamiętam. Jakoś trzeba było do tych ludzi podejść

serdecznie, żeby czuli, że swoi są...

Był jeden Żyd, nie sparaliżowany, niedołączony, strasznie wielki komunistą. Ci buchalterzy przynosili mu jakieś komunistyczne piśmi-ka do czytania. Wiecznie pisał skargi na wszystkich. Ten Krywko nie lubił go strasznie, mówi, żeby go troszkę postraszyć. W końcu bara-ku leżeli ludzie już całkiem nieprzytomni, psychicznie chorzy, ocie-mniała kobieta, a dalej wyjście do trupiarni. Krywko mówi do kogoś: "Iwanie, postrasz tego Żyda". Biorą za łożko, ciągną go w ten kąt blisko trupiarni. Żyd niedołączony, jakiś czas cicho siedział.

Było kilku Łotyszów, jeden Estończyk, starszy pan, kulturalny. Niektórzy sami koło siebie starali się coś zrobić, okryć się, czy nawet jedną ręką zjeść, cisi, spokojni, nikomu nigdy nie dokuczali.

Był Ukrainiec jeden paskudny. Mieszkałyśmy w dawnych barakach. poprzedzaliśmy sobie na mniejsze pokoiki i starałyśmy się dobrać bez względu na narodowość. Zmiana była o 10 rano do 10 następnego dnia, a śniadanie między 8 a 9-tą. To ten dziad nie będzie jadł, aż tamte baby przyjdą, bo je podszczypywał. Marian wtedy mówił: "Albo jesz, albo wyrzucam won" - ostro.

Był Litwin z pochodzenia, ~~Arajan~~ ^{Raubunas}...as (nieczytelne). Siedzia-ł chyba od 36 roku. Miał wylew, jego pamięć nie była w porządku, ale pomagał, przynosił wiadra z kuchni, robił pożyteczne rzeczy. Ale np. szuka kogoś - bez sensu. Pisała do niego rodzina i on prosił, żeby napisać do żony (chyba Żydówka), ale nie mógł dokładnie wytłu-maczyć (...). Parę listów napisałam po rosyjsku i parę słów po li-tewsku, nie cyrylicą, to baba napisała, że nie rozumie tych słów. "Czy mój mąż nie ma rąk?" Napisałam, że ręce ma, ale nie bardzo pa-mięta.

+ XIII (...). Kąpiel w tym szpitalu wyglądała tak: obok w pokoiku stała ~~mała~~ wanna, sadzano chorego na krześle w tej wannie i z wia-dra obmywano. Mnie z Marianem było dość dobrze pracować, bo on był silny, robił ciężkie prace. Wzamian za to bieliznę mu wyprałam itp

Tamtym zmianom ci ludzie dokuczali (...), u nas był spokój. Jak przychodzi wieczór, to jednego boli głowa, drugiego żołądek, trzeci spać nie może. A my nie mamy nic. Za parawanem odgradzony kat, tam niby leki: termometr, jodyna. Ci buchalterzy dostawali jakieś leki, mogli je sprzedawać. Dostawaliśmy jakieś proszki w papierkach. Nikt z nas nie wiedział, co to jest i było tego bardzo mało, najwyżej na parę dni starcza. Więc my z Marianem krede nożykiem drapiemy, podpisujemy papierki : to od bólu głowy, to od żołądka, to nasenne. (...) Po kolacji robimy obchód. Dzbanek z wodą, kieliszek, rozносimy tę nieszczęsną kredę w tych papierkach. Pomagało. Mówiono: "Na dyżurze Sławy i Mariana, to jest, inne zmiany nic nie dają!".

Jakiś czas była u nas w małym pokoiku ociemniała (ślepa od urodzenia podobno) kobieta. Była to Rosjanka z gębą tak niewyparzona że rzadko to się zdarza. (...) Młodszy, chuliganowaci (też byli), kiedyś przechodząc do ubikacji, ktoś jej jakieś przykre słowo powiedział. Od tej pory zawsze rozpoznawała go. Zmieniał krok, zmieniał buty - zawsze wiedziała! Obrzydliwymi słowami go obrzucała. Mówił później: "Cholera, skąd ta baba wyczuwa, po co ja ją ruszałem" (...) Ja jej wycerowałam pończochy, to ledwo otwierałam drzwi - "Sława, to ty?" - zawsze poznawała.

Był też w tym pokoju bardzo młody Litwin psychicznie chory. Lotnik, bardzo bity na śledztwie, coś się tam pomajtało. Roman. Pewien Ukrainiec, Stanisław, mówił po polsku, był tam magazynierem, wydawał nam pościel i od czasu do czasu przychodził. Roman palił (a nikt tam papierosami nie rzucał), chce zapalić, widzi jak Stanisław przychodzi, zawsze zaczyna śpiewać "Jeszcze Polska" (śmiech), żeby papierosa dostać. (...) Nienormalny był, ale kombinował... Mariar go przywiązywał do łóżka, straszny żywot miał.

Marian opowiadał takie rzeczy (o sobie). Miał domek, gdzie została żona i dwoje dzieci. Jak był więziony w obozie, pisał ktoś do niego listy, że żona z ruskimi się włóczy. Marian wyglądał na starego, bo zarosnięty był, ale stary chyba nie był. Wcześniej b

był w głębi Kołymy. Już do Magadanu jakiś uczciwy sąsiad do niego napisał: Nie wierz temu, co ci pisać. Twoje dzieci są wywiezione do Mongolii, a żonę spalili żywcem w domu (...) Podparli okiennice i spalili. Nie pisał, kto to zrobił. (...) Marian później zaczął się starać o wyjazd do Mongolii i dostał (chyba w czerwcu) ten wyjazd.

Przed jego wyjazdem jeden Rosjanin mówi: "Wy pracujecie tutaj w sześć osób, a jest siódma na podmiannę, ale buchalteria zatrudnia ją u siebie do sprzątnięcia itd." Marian już się szykował do odjazdu, ale mówi, że trzeba pojechać do urzędu, sprawę wyjaśnić. Pojechałam. Mówię, że jestem w obsłudze przy ciężko chorych, że jest siódma osoba na zmianę, którą nasza buchalteria, Żydzi, trzymają u siebie za służącą, a my nigdy nie mamy wolnego. (...) I przyjechała komisja, zaczęło się piekło, tę babę pognali na zmianę do nas. Marian za parę tygodni wyjechał, Żydzi na mnie się zwiędli (?), zostali dalej wszyscy. Myślę sobie, teraz już będzie mi bardzo ciężko, muszę się stąd wydobyć.

Spotkałam się z Janeczką Studysówną, ona parę razy przyjeżdżała do Jadźki. Janka się urządziła w szpitalu wojskowym. Mówi: "Przyjdź do wojskowego szpitala i poproś naczelnego lekarza (był nim płk Wostokow), żeby cię przyjął do pracy. Pojechałam tam. A wówczas jeszcze przywieźli do nas ~~inwalidki~~ do "inwalidki" ludzi, którzy mieli podmrażane ręce amputowane (jeden malował kikutami, sam nawet jadł, ale był strasznie nerwowy). Przywieźli ich z północy - bez uszu, bez nosów. Ci ludzie byli tacy nerwowi! Trudno było wytrzymać. Przyszłam do szpitala wojskowego, mówię do ^{major} naczelnego, że jestem "zapadniczka" (tak nas nazywali), że siedziałam z 53 paragrafu, byłam w domu inwalidów, ale czuję się na siłach, żeby pracować w szpitalu. Było miejsce na chirurgii i na zakaźnym. "a chirurgii trzeba dźwigać chrych, to było za ciężkie dla mnie. Wybrałam zakaźny. Sześć godzin, dzień pracy, więc mam trzy dni wolne, bo dyżurujemy

dobę. Mogę sobie dorobić. Janeczka dostawała z Wilna listy. Jej brat śmiedział raz, potem drugi, był w Wilnie po drugim wyroku zanim dał Polski wyjechać. Pisał na kontakt z siostrą, która mieszkała w Bydgoszczy (...). Umówiliśmy się, że jej siostra pojedzie do Piły i kupi mojemu synowi za 1000 złotych ubranie, buty itd, a ja Jance dam tu 1000 rubli. A w szpitalu zarabiałam trzysta z czymś rubli. Teraz się dopatrzyłam na rachunku (bo go mam), że mi stracali za bezdzietność, cholera. To jest metoda: ledwie człowiek wyszedł z więzienia, już płacił za bezdzietność. Już wtedy korespondowałam z rodziną, wiedziałam, że mąż jest w Uchcie. Musiałam te 1000 rubli jakoś zdobyć. Chodziłam sprzątać, zbierałam borówki i jarzębinę z Janką (...). Było ciepło. Mieszkałam w dalszym ciągu w domu inwalidów razem z dziewczętami, a do pracy chodziłam z siódmego kolometra na czwarty, to był kawałek drogi. Musiałam iść przez miasto. Można ~~by~~ było wprawdzie iść na przełaj, ale było to niebezpieczne (...). Kiedyś znaleziono jakąś kobietę zamordowaną, podpaloną. Ale tam ktokolwiek jechał, nawet karetka pogotowia - zatrzymywał się, nie zostawiał człowieka na drodze. Jak wychodziłyśmy z miasta na tzw. kurskim foksale zbierały się baby z tobołami i kierowcy ciężkich maszyn, wywrotek itp. (między miastem a 7 kilometrem były jakieś magazyny zdaje się wykute w skale, ^{była} jeździła tam też wąskotorówka) wykaza, te baby podsadzają, później gdzieś nas wszystkie wytrzasają - i nigdy nie biorą pieniędzy. W śródmieściu były studnie artezyskie, rzeczka oddzielała czwarty kilometr od miasta. Był most, ale jak kiedyś przyszła powódź, to go traktory linami przytrzymywały z jednej i drugiej strony. Do szpitala wojskowego po drugiej stronie beczkowozami dowożono wodę. I nawet te beczkowozy brały ludzi. Taki był stosunek do ludzi, że tego tu nikt nie rozumie.

Pracowałam w szpitalu. Było tam 14 żołnierzyków - wszyscy od jednej dziwki syfilisa dostali (dogadali się). Wśród nich był jeden z Białorusi, dość dobrze mówił po polsku.

(... skrót, bżaha opowieść o dwóch lekarkach skłóconych ze sobą)

Kiedyś przychodzę na dyżur, siedzi jakiś, wygląda na 12 - 14 lat, rąk nie widać spod wiszących rękawów, siedzi to i w sufit patrzy. "Wziąłbyś jaki tygodnik, gazety kolorowe obejrzał". - "A, co mi ~~ta~~ tam, czytać nie umiem." - "Jak to, do szkoły nie chodziłeś?" - "A, kakaja tam uczaba była, ja głodny byłem, chleba nigdy do syta nie jadłem, byłem w sierocinicy okradany (...) to i on kradł. A u złodziei taki "zakon" - nie trzymać karabinu, a tym bardziej nad więźniem nie stać. Więc on nie chce chodzić w mundurze, mydła szarego rozpuścił wypił i biegunki dostał. A jak wypiszą, to "mogę chlorku jakiegoś się napić". Chłopię tak wychudzone, szkielet! Żal było tego dziecinka, bo to taka bieda-nędza - a i w koszarach każdy będzie dziobał takie kurczę.

Kiedyś przychodzę, a w naszej dyżurce oficer, który ma chyba zapalenie opon mózgowych. Zabrali go później samolotem, miał niesamowite bóle głowy a speców od tego nie było w szpitalu. Leżał oddzielnie. Korytarz, dyżurka, na przeciw toalety. Przejęłam dyżur, (...) a żołnierzyki z naszej "kawalerki" mrugają na siebie i co chwilę któryś wychodzi, trzaska drzwiami od toalety. "Dlaczego to robicie, przecież tu jest taki ^uchry człowiek!" - "Przecież to oficer! Specjalnie wyznaczili "dyżury" i walą tymi drzwiami, bo to oficer! Taka nienawiść. (...)

W tym szpitalu pracował Rumun, chirurg-plastyk. A ponieważ w Rosji było wielu poharatanych po wojnie, strasznie im na nim zależało. Ale on miał wyrok: pozbawienie praw, to się za nim ciągnęło. Wostokow chciał koniecznie, żeby on założył oddział chirurgii plastycznej. Ale Rumun mówi, że pracuje tu na razie, bo musi pracować, ale stworzyć tu niczego nie będzie, bo jest pozbawiony praw. Obiecywali mu Bóg wie co, ale on, że dopiero w Rumunii będzie tworzył. Nie zgodził się. Jechał z nami z powrotem. Wysoki przystojny mężczyzna. Wejście było jedno jedyne przez izbę przyjęć. Wynosimy śmiecie, czy

idziemy do stołówki - zawsze przez ten pokój. A doktor Rumun kiedy miał dyżur w izbie, zawsze nam, więźniarkom pozbawionym praw, drzwi szarmancko otwierał, stuka kopytami, przepuszcza nas (a my ze śmieciami) - a ruskie baby aż piszczą za nim! A on je per noga traktuje

Chodziłyśmy co tydzień meldować się i w czerwcu dostałyśmy formularze do wypełnienia. Wpisałam tam, że czeka na mnie w Polsce 80 letnia matka i 14 letni syn. Miały one być wysłane do Polski i prawdopodobnie zostały wysłane, bo kiedy przychodziliśmy się patać, czy wyjedziemy, spotkałyśmy w urzędzie kobietę, która strasznie się wyklócała o coś, a urzędnik mówił (chyba jej coś pokazując): "Co wy ode mnie chcecie, wasz rząd przysłał odmowę, nie chce was przyjmować, co ja tu mogę zrobić?" (...)

Nasi chorzy zaczęli opuszczać szpital i w pewnym momencie zostało ich trzech na 8 osób personelu (2 lekarki, 3 siostry i 3 sanitariuszki). Dyrektor powiedział, że mogą pracować, ale tylko na dzienną zmianę. To już dla mnie nie był interes. Janka mieszkała przy szpitalu w hotelu robotniczym, łóżko przy łóżku, ruskie baby sprowadzały sobie chłopów, żołnierzy, całe noce orgie, złodziejstwo (...). Było jej bardzo ciężko, niezaradna była, Wostokow zmusił ją, żeby przychodziła do niego do domu sprzątać. Tam było 6 osób: Wostokow z żoną, córka z mężem i dwoje bachorów. Janka była strasznie zmęczona. Coś jej płacił, ale ja bym się tak nie pozwoliła wykorzystywać. (...) Lekarka powiedziała mi, że w barakach, gdzie mieszka (Mieszkali tam sami enkawudziści, milieja i lekarze) jest potrzebna osoba do sprzątnia korytarzy - i jest dla niej lokum. Bez okna, ale kąpielni samodzielny. I robotę można zrobić kiedy się chce (raz w tygodniu), a potem robić co się chce. Myślę sobie: to jest w mieście, własny kąpielni, zabiorę Janeczkę do siebie, możemy sobie wziąć jakieś sprzątnie prywatne u jakiegoś enkawudzisty, a nawet dwa takie zajęcia i jakoś to będzie. Miałyśmy trochę nadziei na wyjazd, ale na razie ucichło to wszystko i nic nie było wiadomo.

(...) Poszłam więc do Wostokowa i mówię, że nie będę mogła tu pracować, bo mieszkam daleko itd. A on: "Przecież tu jest hotel robotniczy". A ja, że w takim hotelu my nie jesteśmy przyzwyczajone mieszkać. I mówię, jak to przychodzą żołdacy, jak to się wszystko łajdaczy, a my jesteśmy inaczej wychowane i Polki, które tam mieszkają, czują się źle. "No to ja wam, zapadniczkom" dam oddzielny pokój." Ale już nie chciałam tam pracować. Pożegnałam się z Wostokowem, był bardzo niezadowolony (...).

Zamieszkałyśmy z Janką (...), zarabiałam ponad 300 rubli, dorabiałam (za przynoszenie obiadów ze stołówki rodzinie pewnego pułkownika dostawałam 100 rubli, to się opłacało). Ada też gdzieś sprzątała, Janka do ostatka była w tym szpitalu. Bo już się zaczęło zbierać na wyjazd.

Wyjechaliśmy w październiku statkiem "Feliks Dzierżyński". W tym transporcie było wiele narodowości. Nie wiem, ilu Polaków, bo bardzo źle znosiłam podróż. Ale przed Władywostokiem się morze uspokoiło. Węgrzy z Polakami wynajęli sobie stołówkę na statku, postawili płatnego gozorce przy drzwiach. Jedna pani miała akordeon, muzykalna, teraz po mężu nazywa się ^{ma}Henrietta Głód, mieszka w Gliwicach.

(nagranie jakby przerwane w połowie taśmy B)

III | 1. Materiały dotyczące rodziny relatora:

- Życiorys Stefana Chodylko - mgia relatorki.
str. 15-16 tełsta zawiera informacje dot. stacjstamy
Chodylko. Fotografia na str. 16. Msp. oryginal
fotografie skan komputerowy. K. 16, s. 16.



Życiorys Stefana Chodyko

Urodziłem się na Litwie w miasteczku Dubinki (po litewsku Dubingaj – Dębowy Gaj) w 1920r., 11 kwietnia (pierwszy dzień Wielkanocy), jako syn Kazimierza i Wincenty z Giedrojców.

W maju 1920 r. wyjechaliśmy z Dubinek do Wilna skąd pochodził mój ojciec. Powodem opuszczenia Dubinek m.in. była wiadomość, że pomiędzy Dubinkami a Wilnem miała powstać granica państwowa. Matki rodzice pochodzili z Dubinek i żadnej granicy tam nie było od króla Jagiełły.

Dziadek ojca Kacper Chodyko miał posiadłość koło Mińska i był szlachcicem-bojarem. W latach 1863-64 był w oddziałach powstańczych Narbutta. Został za to zesłany na 20 lat katorgi na Sachalin. By nie uciekł stamtąd przykuto go łańcuchem do taczki.

Po 20 latach zesłania powrócił do Wilna, posiadłość jego została skonfiskowana i nie można było się tam osiedlić. Zmarł w Wilnie w 1888 r.

Brat mego ojca Stanisław Chodyko był w 1918 r. we Lwowie i poległ w obronie miasta. Został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Drugi brat ojca Władysław Chodyko poległ w 1920 r. w obronie Wilna.

Ojciec w I - szej wojnie światowej nie brał udziału. Będąc na wojnie rosyjsko-japońskiej w latach 1900-1905 został ranny i po przyjeździe do Wilna, już do wojska nie został wzięty. Za wojnę 1900 – 1905 został odznaczony „Krzyżem Georgii” (odpowiednik Krzyża Virtuti Militari), medalami „Za odwagę” i „Za pochód w Kitaj 1900-1905”. Z tytułu posiadania krzyża Georgii otrzymywał 300 rubli rocznie.

W Wilnie ukończyłem szkołę powszechną oraz Szkołę Rzemieśniczo-Przemysłową. W tej ostatniej odbyłem kurs Przysposobienia Wojskowego piechoty a Przysposobienie Wojskowe lotnicze ukończyłem w Ustianowie. W 1939 byłem w Warszawie na szkole Towarzystwo Wojskowo-Techniczne, podchorążówka specjalistów mechaników, kurs lotniczy, morski i rusznikarsko-puszkarski. Wybuch wojny nie pozwolił na kontynuowanie nauki, a kursantów zabrano do cytadeli, gdzie ich wcielono do 21 p.p tzw. „Dzieci Warszawy”. Tam dowódcą był pułkownik Stanisław Sasabowski, późniejszy generał dyw. skoczków spadochronowych. Wszyscy braliśmy udział w obronie Warszawy. Kursantów pochodzących z Kresów Wschodnich zwolniono i powiedziano im, że w stłoczonej stolicy brak jest broni oraz żywności i mamy iść na wschód prosto na Brześć, bo tam będziemy potrzebni w odwodach naszej armii.

Po dotarciu do Wilna wstąpiłem do Batalionów Obrony Narodowej (BON), gdzie zostałem dowódcą drużyny wartowniczej przy I Dyw. Leg. stacja zborna przy ul. Połockiej. Po wejściu bolszewików do Wilna mieliśmy z nimi starcie zbrojne w wyniku, czego dwoje z nas zostało zabitych i kilku rannych. Miało to miejsce 18 września 1939 r. Od tej daty zaczęliśmy pracę konspiracyjną. Jako młodzież narodowo społeczna już przed wojną znaliśmy się dobrze między sobą i ze sobą bardzo byliśmy związani poprzez harcerstwo czy szkolne narodowe związki. Powstały Narodowe Oddziały Wojskowe – SZP – ZWZ, a od marca 1942 r. już jako Armia Krajowa.

W listopadzie 1941r. powstał I Pułk pancerny im. Bolesława Chrobrego. Chorągiew dla niego wykonały siostry zakonne w Wilnie. Poświęcenia chorągwi w ostrej bramie dokonał ksiądz Aleksander Lachowicz ps. "Leszczyna" w dniu 11 listopada 1943 r. W bitwie o Wilno w dniu 7 lipca 1944 r. brała udział chorągiew. 20 lipca 1944 r. odzyskano ją ze sztabu Armii Radzieckiej i przechowywano przez 20 lat w Wilnie. 2 listopada 1963 r. chorągiew przekazano do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Inicjatorem tych przedsięwzięć był d-ca pułku B. Chrobrego kpt. Zygmunt Dziarmaga-Działyński ps. „Józef”.

Na ogół mieliśmy większość wspaniałych żołnierzy, od szeregowych do szarż najwyższych, wszyscy byliśmy gorącymi patriotami, "Dziećmi ziem północno-wschodnich", zawsze wierni Bogu i Ojczyźnie. Dużo kolegów oddało za to swoją krew i życie. Wychowawcy ze szkoły i harcerstwa już od 1939 r. złożyli daninę krwi. Nasz profesor, harcmistrz por. Kazimierz Skup (miał ukończone studia na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie), poległ pod Warszawą 13 września 1939 r. Uczył nas w szkole Rzemieślniczo-Przemysłowej, był bardzo dobrym wykładowcą a nas uczniów traktował po ojcowsku. Prowadził również harcerstwo i zajęcia sportowe.

W tejże szkole istniała 8 drużyna harcerska im. B. Chrobrego, a harcerze nosili chusty koloru amarantowego. Z tej drużyny grupa młodzieży przeszła do partyzantki tworząc I pułk pancerny im. B.Chrobrego. Poza wymienionym wykładowcą był inny por. Henryk Rekść uważany przez nas za ojca duchowego, który poległ pod Modlinem we wrześniu 1939 r.

Ponadto z naszej drużyny harcerskiej polegli:

3. p.chor. Józef Bezpalczew ps. „Sokół” – 18.IX. 1939 - Wilno,
4. Jan Szott ps. „Góral ” – 18.IX.1939 – Wilno,
5. Władysław Deniusz ps. "Czarny" harcmistrz, 1954 - Workuta ZSRR,

6. Kazimierz Deniusz ps. "Wrona" harcerz, 1944 r.- Wilno,
7. Olgierd Dowiak ps. „Malarz”, 1943 – Ponary – Wilno,
8. Józef Duszyński ps. „Nałęcz”, harcerz, 1943 r. – Wilno,
9. Piotr Gasinis ps. „Bokser”, harcerz, 1943 r.- Wilno,
10. Stanisław Gigałto ppor. ps. „Zamk”, 7.VII.1944 – Wilno,
11. Leon Inczyk ppor. „Ilon”, harcerz 11.VII.1944 – Wilno,
12. Czesław Mazurkiewicz ppor. „Młot”, 1943 r - Ponary,
13. Władysław Rutkowski ps. „War” kpr. 12.VIII - Wilno,
14. Lucjan Sołtan, ksiądz kapelan AK „Żniwiarz”, 31.I.1951 - ZSRR,
15. Władysław Wiszniewski ppor. ps. „Mały”, 1943 r. – Ponary,
16. Roman Piekarski ps. „Żubr”, d-ca bat. Ochrony Powstania, 1946 r.- ZSRR.
Dowództwo AK – Wilno:
 1. Aleksander Krzyżanowski gen. „Wilk”, gł. Komendant Okręgu Wileńskiego AK, zamęczony w więzieniu na Rakowieckiej, 29.IX.1951, pogrzeb odbył się dopiero 27.IV 1957 na Powązkach w Warszawie,
 2. Antoni Olechnowicz ppłk. ps. „Pohorecki”, d-ca I Zgrupowania AK – Wilno, rozstrzelany 11.V.1951 na Rakowieckiej,
 3. Zygmunt Szendzielarz mjr ps. „Łopaszko”, d-ca V Brygady AK, rozstrzelany 8.II.1951 na Rakowieckiej,
 4. Gracjan Fróg kpt. ps. „Góral”, ps. „Szczerbiec”, d-ca III Brygady AK, rozstrzelany 11.V.1951 na Rakowieckiej
Kpt. Gracjan Fróg ps. „Góral, Szczerbiec” poprzednio był w 1 pułku im Bolesława Chrobrego. W 1943 r. powstała III Brygada i nadano jej nazwę „Szczerbca”, a kpt. Gracjan Fróg przyjął ps. „Szczerbiec” .

Większość żołnierzy to młodzież narodowa. W późniejszym okresie była wyłapywana przez NKWD i wysyłana do ZSRR.

Z 1 pułku B.Chrobrego, był żołnierz Eugeniusz Pauksza – publicysta i pisarz. W 1943 r. aresztowało go gestapo, groziło mu rozstrzelanie, ale został wykupiony. Przeżył wojnę i pisał książki.

Z 1 pułku B. Chrobrego wyszedł inny pisarz publicysta Leon Lech Beynar „Paweł Jasienica”. Wstąpił do V Brygady „Łopaszki” i był jego zastępcą. Groziło mu schwytanie przez NKWD, rozstrzelanie, ale został ocalony przez Bolesława Piaseckiego, b. założyciela PAX-u. Piasecki przyjął go do siebie i poręczył, że nic

złego nigdzie Jasienica nie będzie robił. Od tej chwili pisał piękne historyczne książki m.in. „Polska Chrobrych i Jagiellonów”.

Bolesław Piasecki przed wojną był w Stronnictwie Narodowym, zaś w wojsku podporucznikiem w czołgach, podobnie jak d-ca III Brygady „Szczerbiec” też służył przed wojną w czołgach jako porucznik. Stąd powstał 1 p.pancerny im. Bolesława Chrobrego AK.

Powstanie ONR-Falanga 14.IV.1934, którego d-cą został B.Piasecki. Odszedł wraz z kolegami ze S.N Romana Dmowskiego. Opracowali wyraźny program, przestrzegając porządku. Fakt ten przyczynił się do tego, że dość duża część młodzieży do nich przystąpiła. Z chwilą wybuchu wojny wszyscy poszli do wojska. Po zajęciu Polski przez Hitlera sądził on, że część narodowców pójdzie do Wehrmachtu. Ponieważ to nie nastąpiło zaczęli ich aresztować i wysyłać do obozów, zaś ok.400 zostało rozstrzelanych, zaczęły się powiększać grupy oporu, powstawały oddziały Uderzeniowe Bataliony Kadrowe (UBK),.

22.IV/1941 zaczęła się wojna, dwóch „najlepszych przyjaciół” Niemcy- Rosja”.

UBK niszczyły tory kolejowe wokół Warszawy, a później przeszli na stronę Prus, gdzie zaczęli niszczyć posterunki żandarmerii. Niemcy tak ich gnali, że zapędzili się na wschodnie ziemie polskie. Tu warszawskie oddziały UBK odpoczęły i zadomowiły się. Byli mile widziani przez tutejszą ludność. W Wilnie bardzo dużo młodzieży zaczęło zasilać UBK, znając ich narodowe nastroje. Nasz d-ca Z.D.D kpt „Józef” też był warszawiakiem, przed wojną był w ONR-rze, zasilał młodzież szeregi UBK. Mielśmy na karku Niemców, Sowietów, wojsko litewskie.

Oddziały AK-owskie liczyły: z ziemi Nowogródzkiej 15.000 żołnierzy i 20.000 żołnierzy z Wileńszczyzny i tyle samo siatką czyli pod pole.

Z początku współpracowaliśmy z sowietami, później gdy armia sowiecka doszła do granic przedwojennych Polski zaczęła zwalczać nasze oddziały. Taki rozkaz otrzymali z Moskwy. Chętnie z nimi się kolegowaliśmy, bo mieliśmy pozorne wsparcie dowódców sowieckich. Pojawiające się oddziały NKWD agitowały, by iść razem z nimi, do wojska Berlinga. Odmowa pójścia do wojska Berlinga spowodowała działania zaczepne, strzelano do nas a my do nich. Jak podchodzili pod Wilno, to my dzień wcześniej uderzyliśmy na obronę niemiecką i weszliśmy na przedmieścia Wilna. Walka była nierówna. Niemcy posiadali dużo czołgów, artylerii i silne lotnictwo. Wówczas wspólnie z sowietami walczyliśmy przeciwko Niemcom ponad tydzień. Po zajęciu Wilna przez Sowietów, sowiecki Marszałek Czerniachowski zaprosił do sztabu naszego dowódcę AK gen. „Wilka” Aleksandra Krzyżanowskiego

na naradę wojenną. Wcześniej były pogłoski, że sowieccy komendanci zgodzą się na utworzenie przez nas paru dywizji, w tym 1 dywizji piechoty, 1 dywizji kawalerii, a dowództwo nasze będzie podlegało rządowi polskiemu w Londynie. Nasz dowódca AK „Wilk” w asyście adiutanta i szofera pojechali do sowieckiego sztabu na posiedzenie i weźmie ze sobą oddział kawalerii. Powiedzieli, że to nie jest potrzebne, bo ich sztab ma dobrą ochronę. Sowieccy dowódcy powiadomili naszych dowódców, by wojsko polskie zebrało się, w oznaczonym czasie i miejscu, ponieważ będą nadawane odznaczenia bojowe dla naszego wojska za współudział w zdobywaniu Wilna. Nasze wojsko ustawiono w kolumny na olbrzymiej przestrzeni i powiedziano, że wkrótce nastąpi dekoracja odznaczeniami. Wszyscy mieliśmy być w mundurach, ale bez broni. Z tyłu i boków podeszli sowieccy żołnierze, nadjechały ciężarówki i kazano do nich wsiadać. Nie wszyscy chcieli wsiadać do wozów, to nastawili karabiny z bagnietami i maszynowe, siłą poganiali do wsiadania. Na tyłach było pełno czołgów. I tak zakończyła się „dekoracja medalami”. Ciężarówki w otoczeniu karabinów maszynowych z bojcami odjechały do więzień i obozów. Naszego dowódcę gen. „Wilka” z jego asystą aresztowano i wywieziono do obozu do Miednik. Z tego obozu trochę naszych żołnierzy uciekło. Uciekł i sam gen. „Wilk”, wrócił do Wilna. W Wilnie rozpoznano go i ponownie aresztowano. Duża część żołnierzy nie przyszła na ich „dekorację”, przypuszczali jakąś prowokację. Część się spóźniła a po drodze dowiedzieli się od niektórych „uciekierów”, że ich oszukano i aresztowano.

Ja w tym czasie dowodziłem kompanią i powiedziałem, że kto chce niech idzie do domu, a kto chce niech zgłosi się do Berlinga. W tym czasie usłyszeliśmy przez radio apel gen. Bór-Komorowskiego, głównego dowódcy AK na Polskę, że Warszawa szykuje się do walki, będzie powstanie. Zebrałem chętnych swoich żołnierzy i po mszy św. w kościele na przedmieściu miasta „Zwierzyńcu”, pomaszerowaliśmy w kierunku na zachód do Warszawy 15.VII.1944. Sowieci zaczęli wyłapywać AK-owców. Część oddziałów okłamano i powiedziano im, żeby szli do miejscowości Miedniki, a tam będzie koncentracja i poszli – do obozu około 5.000 ludzi.

Przed nami do Warszawy wyruszyły UBK, które też nie poszły na dekorację medalami. Uniknęli zasadzki. Po paru dniach zostaliśmy okrążeni, oddział w liczbie 27 akowców rozbrojono. Chciałem walczyć, ale nas też oszukano. Jeden z nas znał język rosyjski i powiedział, że z nimi się dogadał i wszyscy pojedziemy do Wilna, walki już dalej nie było.

Po dojściu do Wilna (podwieźli nas ciężarówkami), ludność jak nas zobaczyła przyniosła samogon, popiliśmy z „ochroną” i ulotniliśmy a sowietci posnęli. Kilka tygodni byliśmy u nich gośćmi i zobaczyliśmy te „dobre czasy” z wszami.

Po powrocie do Wilna znów zaczęła się praca w konspiracji, aż do października 1944. Żona moja spotkała kolegów żołnierzy AK-wców z oddziału, do którego dostarczała broń i amunicję. Spotkała ich niosąc broń. O tym spotkaniu mnie poinformowała. Ja jej powiedziałem, że daję 99%, że oni współpracują z NKWD. Żona na to mi odpowiedziała jak ja mogę tak o nich mówić, zna ich dobrze, dostarcza broń a oni ją przyjmowali, bo byli rusznikarzami. Wtedy ja jej odpowiedziałem, mam podrobione dokumenty, staram się omijać patrole sowieckie w Wilnie a oni swobodnie spacerują po mieście.

Żona wróciła do domu późno, już była godzina 23.00. O tej godzinie nie wolno już było poruszać się po mieście, ale jej się udało. Mówię jej, że rano o godz. 6.00 wyjeżdżam 30 km za Wilno do Mejszugoły na akcje z sowietami, a ty z rana wychodź z domu, bo przyjedzie po ciebie NKWD. W tym czasie w domu naszym nie było naszego synka Stefanka. Żona zostawiła go u znajomych. Synek miał już 3 latka (ur. 12 października 1941 r. w Wilnie). Znajomi mieli dwóch synków, tak że miał się z kim bawić. My w tym czasie mieliśmy dużo pracy. Przy takiej intensywności można się było spodziewać, że wpadnie się w łapy NKWD. Nie chcieliśmy by taki sam los spotkał go jak nas. Posunięcie było słuszne, bo u znajomych został aż do naszego wyroku sądowego. Po wyroku zabrali synka wujkowie żony 30 km za Wilno. Wyjeżdżając do Polski zabrali go ze sobą, dopiero w Pile oddali go moim rodzicom, czyli dziadkom Stefanka. Sowietci chcieli go zabrać do siebie. Z żoną umówiliśmy się, że ja powiem im, że nie wiem gdzie on jest, a ty nie powiesz gdzie go zostawiłaś. Ponad 11 lat nas nie widział. W szkole mu mówiono, że rodzice nie chcą tu przyjechać. Do rana nie trzeba było czekać. Podczas snu otoczono nasz dom, wyłamano drzwi, a nas jak baranów popędzili aż na Sybir.

Od września 1939 r. będąc w konspiracji należało się gdzieś ulokować do pracy. Podczas sowieckiej okupacji pracowałem jako hydraulik a podczas niemieckiej młodzież wysyłano na roboty przymusowe a tych, których pozostawiono w Wilnie musieli wykonywać prace wojskowo-mechaniczne. Pracując w takich zakładach wykradaliśmy amunicję, granaty i inne militaria. Przeważnie robiliśmy to nocą, w ciągu dnia należało wybrać odpowiedni teren i dostać się do budynku. Przecież teren był pilnowany. Trzeba było się tak poruszać, by nie być zauważonym w danym terenie. I tu trzeba było być harcerzem, indianinem, który potrafi być niezauważony,

wleźć gdzie trzeba i wyleźć z tego miejsca poza teren ogrodzenia obładowany zdobyczą. Tak w operacjach bojowych jak i innych trzeba było mieć łut szczęścia. Mówiło się więc więcej „szczęścia jak rozumu”.

W 1940r. 14 maja ożeniłem się z koleżanką, która należała tak jak ja do Ruchu Młodych jeszcze przed wojną.

Żona przed wojną ukończyła kursy sanitariuszek PCK i pracowała w szpitalu. Po wojnie należała do NOW – Narodowej Organizacji Wojskowej. Razem byliśmy cały okres aż do naszego aresztowania 26 października 1944 w Wilnie. Przed aresztowaniem działała w AK jako łączniczka i dostarczała broń do oddziałów partyzanckich AK w terenie. I tu niezbędny był ten „łut szczęścia” a może i więcej jak ten łut? Mniejszy towar do 20 kg brała na barki i nocą idąc przez lasy 40-50 km dostarczała do oddziału AK. Towar o większym ciężarze przewoziła bryczką zaprzęzoną w dobrego konia w obstawie partyzanta. Dwóch młodych chłopców jak zobaczyło, jaki ładunek jest przewożony po prostu uciekło do miasta. Musiała sama przewieźć ten ładunek drogą 40 km. Po szosie chodziły różne patrole wojskowe i partyzanckie, litewskie, niemieckie, polskie i różni bandyci. Po naszym aresztowaniu przez NKWD w październiku 1944 r. została osądzona na 10 lat łagrów, 5 lat pozbawienia praw i konfiskatę naszego majątku za to, że niosła 8 automatów i przekazała je do oddziałów AK. Broń tę oboje Chodykowie, tj. Stefan i Stanisława zdobywali wspólnie. Żona Stanisława ps. „Basia” po zlikwidowaniu radiostacji Armii Krajowej nawiązała łączność z członkami AK, którzy przeszli do podziemia. Od nich otrzymywała instrukcje do dalszej działalności konspiracyjnej. Mnie Stefanowi Chodyko zarzucono udział z bronią w ręku w walce o wyzwolenie Wilna i przyłączenie jego do Polski, uchylanie się od służby w armii czerwonej i sfabrykowanie sobie odpowiednich dokumentów. W naszym mieszkaniu były przechowywane ulotki i odezwy organizacji konspiracyjnej biało-polskiej z grupy Armii Krajowej. Po osądzeniu mnie otrzymałem wyrok: 10 lat zsyłki, 5 lat pozbawienia praw, konfiskatę mienia. Później w obozie dołożono wieczną zsyłkę. Wsadzono nas do więzienia na Łukiszkach w Wilnie, w którym przebywaliśmy 7 miesięcy. Aresztowano mnie w kurtce, czapce i butach, zabrałem ze sobą tylko ręcznik, kawałek chleba i słoniny. Podobnie lekko była ubrana moja żona. W celi był goły cement bez żadnego posłania. Tam, gdzie była cela 1-osobowa stłoczono do 30 osób. Jeden drugiemu kładł nogi na ramieniu. Przebywaliśmy bez łaźni pół roku. Wszyscy mieli wszy i świerzby. W celu pozbycia się świerzbu posmarowano nas mazią i zapędzono do łaźni. W łaźni otrzymaliśmy trochę wody i małą kostkę mydła.

Człowiek był zadowolony, że trochę mógł się umyć. Ubrania nasze wieszali w piecu, ażeby poginęły wszystkie wszy. Po ponownym założeniu ubrania i nałożeniu koszuli to chcieli się płakać, ponieważ bielizna nie była nigdy prana, bo nie było wody. Po nałożeniu koszuli brud przyklejał się do ciała. Kawałkami łamał się i znów byliśmy brudni (brud przyklejał się jak kawałki blaszek). Przed dalszym etapem, podróży była łaźnia.

Jedzenie otrzymywaliśmy bardzo słabe (kawałek chleba i wodę). Na obiad zupa bez kartofli, pływały natomiast obierki po kartoflach. Do rozprawy sądowej nie pozwolono na jakikolwiek kontakt z domem. Po wyroku można było dopiero otrzymać coś z domu, jeżeli taką pomoc rodzina była w stanie udzielić. Część tej pomocy nie docierała do więźnia (była rozkradana).

Z początkiem maja 1945 r. nastąpił dalszy etap podróży. Maszerowaliśmy na stację w kolumnie po dziesięciu w rzędzie trzymając się pod rękę. Eskortowali nas żołnierze z psami i tak dotarliśmy na dworzec. Maszerując widzieliśmy z dali ludzi, którzy zegnali kolumnę robiąc znak krzyża. Miałem szczęście, zobaczyłem wśród zegnających swoją matkę, zdjąłem czapkę, choć tego nie wolno było robić. Takie było nasze rozstanie z rodziną i miastem Wilno.

Dopiero po 50 latach mogłem pojechać do Wilna. Spacerując po mieście znów ono było mi takie bliskie, takie swojskie, tu przeżyłem 25 młodości lat. Tam doznałem spokoju i wojny, cichości i miłego życia, wielkiego napięcia, wytężenia sił do granic wytrzymałości. Tak czasem bywa, nie wiesz gdzie będzie twój grób.

Z Wilna jechaliśmy 2 tygodnie na Leningrad, dalej Wołogda, Kotłas, Pieczora, Workuta aż do morza Karskiego, które łączyło się z morzem Arktycznym. Tu była tzw. Komi ASSR (Autonomiczna Sowiecka Republika). Rozproszono nas po Workucie, Incie i Uchcie. Wybierano ludzi, którzy pracowali w różnych zawodach. Tu był pas podbiegunowy północny. Osoby, które zmarły podczas transportu wyrzucano z wagonu prosto do śniegu. Taki był ich pochówek.

Pracowałem w Uchcie na kopalni nafty przez 3 lata. Mrozy dochodziły do -60° C. Lato było krótkie, w czerwcu zaczynała się wiosna a pod koniec czerwca zaczynało się lato. Słońce nie zachodziło. Temperatura dochodziła w słońcu do 37° C. Lipiec, sierpień to lato, z początkiem września już następowała zima i trwała do czerwca. Występowała noc polarna. Od godz. 10.00 do 13.00 było widno, a potem noc polarna trwająca od godz. 13.00 do 10.00 rano. Zorza polarne to jakby dwa reflektory skrzyżowały się na nieboskłoniu, a człowiek pod nimi lub miało się wrażenie, że harmonia jest w ruchu. Zorza świeci tęczowym blaskiem. Są to

naelektryzowane cząsteczki atomów, które biegun ziemski przyciąga jakby przez chmury nasycone różnym gazem. Dlatego mamy różne kolory zorzy w ciągłym ruchu. Być na północy, oglądać zorze polarne to piękny widok, ale nie będąc głodnym i lichy odzianym. Zorza polarna, puszysty śnieg i jeszcze wehikuł (sanie motorowe lub zaprzęg z reniferów) to wspaniałe przeżycie. Podobnie jak przebywać na Capri na lazurowym wybrzeżu na łodzi z gitarą. Ale być w takich miejscach będąc ciągle głodnym szczególnie na północy – nikomu takiego pobytu nie życzę.

Piękno północy zaczynało się widzieć dopiero jak wyszliśmy z obozów i byliśmy częściowo wolni. Przebywając w obozach mieszały się dwa uczucia „piękno przyrody” i „pracy katorżniczej”.

Pracując w kopalni nafty nr 3 w Uchcie, posiadając zawód ślusarza mogłem pracować w brygadzie (brygada liczyła 20-50 ludzi). W brygadzie monterskiej wykonywaliśmy różne naprawy: remonty zepsutego sprzętu, instalowaliśmy nowe maszyny. Prace wykonywaliśmy pod ziemią i na powierzchni kopalni, latem czy zimą przy temperaturze -60° C. Jak były awarie, to bez przerwy pracowało się na dwie zmiany (w tym był tylko obiad). Praca na kopalni odbywała się na 3 zmiany po 8 godz. Pracowaliśmy na jedną zmianę, a za pracę na dwóch zmianach mieliśmy jeden dzień wolny pod warunkiem, że całość nałożonej pracy była wykonana.

Z rana pobudka, grubym prętem uderzano w szynę kolejową umocowaną na drucie, która dawała silny odgłos gongu.

O godz. 5.00 mycie, śniadanie i „powierka”, tzn. sprawdzanie czy się zgadza liczba ludzi. Do pracy wychodzono brygadami. Liczenie ludzi odbywało się przy wyjściu do pracy i po powrocie z pracy do obozu. Część osób pracowała na terenie obozu w kuchni lub przy innych pracach. Więźniowie pracujący na nocnej zmianie po powrocie do obozu zjadali śniadanie i wracali do pracy na pierwszą zmianę.

Jeżeli liczba wychodzących z obozu „zeków” nie zgadzała się (tak nazywano więźniów – zek tzn. zakłuczony), było za mało to liczono ich powtórnie. Do ich szukania wyznaczono „stukaczy”, czyli kapusiów a oni węszyli wszędzie. W każdej brygadzie były takie osoby i oni najczęściej wiedzieli, kogo brakuje. Były sytuacje takie, że nie wszyscy chcieli iść do pracy, kryli się między rurami. Rury takie znajdowały się w kanałach, tam było ciepło i „zek” mógł tam przebywać nawet kilka dni aż osłabł a czasami i zmarł. Natomiast przy stwierdzeniu braku większej liczby więźniów powstawał taki harmider jakby, kto pszczoły postraszył.

Bywały przypadki, że znajdowano cudzych ludzi, to wówczas liczono całymi dniami i nocami, aż doprowadzili do takiego stanu, że byli sami swoi albo stwierdzono,

że mają zbiega z innego obozu. Zbiedzy nie chcieli umierać z powodu zimna to przemieszczali się do innego obozu.

Pierwsza zmiana przychodząc z pracy zjadała obiad i mogła odpoczywać, ale mogli też ganiać na „powierki”. Trzecia zmiana miała najgorzej, ponieważ się nie wysypiali. Druga zmiana wracała z pracy po godz.22.00 i po kolacji mogła też iść spać.

Przebywając w innym obozie pracowałem na trzy zmiany, wówczas byłem stale niewyspany i nie mogłem normalnie pracować. Było dużo wypadków, szczególnie pracując przy maszynach lub obsłudze windy. Pracując mieliśmy stale kłopoty, jest zimno a ty masz stare znoszone ubranie (jest ono zbite a nie puszyste), cienkie i zimne jakby było wykonane z blachy. Rękawice są dziurawe, to masz odmrożone palce. Pracując w nafcie chodziło się po basenie z naftą a na dnie jest skażona woda (ciężka woda H_2O_2). Przy naprawie rur w takich basenach trzeba było nurkować w celu ich uszczelnienia. W terenie otwartym, przy silnych wiatrach i mrozie $-40^{\circ} C$ skóra wyglądała jakby ktoś ją poprzecinał i lała się krew. Przy temperaturze powietrza $-60^{\circ} C$ wiatrów już nie ma, ale jest zimno i należało pilnować by nie odmrozić nosa i policzków. Słabe obuwie powodowało odmrożenie nóg. Spotkałem dużo ludzi z obcięzonymi palcami a nawet stopami. Człowiek głodny szybciej zamarza, bo jest powolniejsze krążenie krwi.

Jedzenie w obozach było bardzo liche. Chcąc mieć lepsze jedzenie należało lepiej pracować. Normy pracy były jak dla człowieka zdrowego, a człowiek wycieńczony takiej normy nie wykonywał. Ludzie często umierali. Nieboszczyków układano w stosy, leżeli zamarznięci jak ryby wysuszone. Jak nazbierano ich dużo to wywożono daleko od obozu i przysypywano śniegiem. Taki był ich pogrzeb. Więźniowie otrzymywali jedzenie mało kaloryczne, bez tłuszczów mięsa. Brak witamin powodował występowanie szkorbutu, wypadały zęby, występowała ślepotą. Śledzie otrzymywaliśmy i jedliśmy bez oczyszczenia i patroszenia, zupa z kapusty kwaszonej (tylko jej w zupie nie było widać). Tak była rozcieńczona, że tylko po smaku wyczuwaliśmy, że to kapusta. Do kilku łyżek kaszy dostawaliśmy naparstek oliwy, ale zawartości całego naparstka się nie otrzymywało. Po obiedzie do osoby, która rozdawała jedzenie przychodził enkawudzisia i mówił „dla mnie wiadro masła (oliwy)”, jeśli nie to jutro „pajdziosz” do kopalni na dół i tam będziesz pracował aż „padachniosz”. U nich było tak, że każdy musiał kraść „jak nie ukradziosz to nie pożywiosz” – tak brzmi ruskie przysłowie. Kto miał rodzinę w Rosji i była dość zamożna to co jakiś czas coś przysyłała. Myśmy byli tego pozbawieni, bo prawie

wszyscy powyjeżdżali do Polski. U nich też była bieda. Jeden z więźniów opowiadał jak był małym chłopcem to spotkało go wielkie szczęście w życiu. Pozostali nasi chłopcy słuchali, jakie to szczęście w życiu go spotkało. Może znalazł jakiś skarb czy coś w tym rodzaju. Otóż jeden z „zeków” otrzymał z domu trochę krup i z kolegą piekł lepioszki na płycie metalowej. Do wypieku lepioszek nie potrzeba żadnego tłuszczu, trochę się podpiecze i już można je jeść. Widząc to z boku drugi „zek” mówi, że jego matka takie lepioszki robiła, bo dostała takiego przycieru. Piekla na podobnej płycie i dawała synkowi a on jadł i czuł się jak w siódmym niebie. To wspomnienie z domu to „było wielkie szczęście”. Tam w „raju” jak miałeś, co do żołądka włożyć to wielkie szczęście. Rozmawiając z nimi można było się dowiedzieć o ich życiu w „raju”. Opowiadając o panującym głodzie niektórzy mieli łzy w oczach. Nie mając nic do jedzenia kradli, wpadali na kradzieży, szli do więzienia a potem do obozów. Mówili, czy ja poszedłbym kraść, gdybym miał pracę i mógł wszystko kupić? Nazywało się to, że mieli „niezłe życie” w obozach, dochodzili do kresu swego życia i to byli „dochadziagi”.

Większość naszych chłopców tam zmarło. Silni, rośli padali jak muchy, organizm potrzebował pożywienia a jego nie było. Słabsi wycieńczeni harówką i głodem też szybko umierali. Średniak, o ile nie padł z głodu a miał silne płuca przeżył (zimna, płuca nie wytrzymały).

Postępowanie Rosjan było takie, najpierw wznosili fabrykę czy hutę, a potem stawiali coś dla ludzi. Transporty pierwszych więźniów spały w namiotach. Piec stanowiła metalowa beczka, w niej rozpalano ogień. Więźniowie dookoła niej kładli się spać. Z przodu od pieca było ciepło, a plecy przymarzały do namiotu. Od pary, którą wydychano podczas snu, byli mokrzy tak, że śpiąc zachorowali na zapalenie płuc. Nie było gdzie się wykapać. Po pewnym czasie postawiono „banie”, czyli łaźnie. Po wybudowaniu przedsiębiorstwa wznoszono baraki przeznaczone do zamieszkania. Przychodziło się z pracy brudnym i mokrym, kładło się spać w ubraniu. Podczas snu odzież się trochę podsuszyła. Kilka lat minęło zanim pobudowano baraki i łaźnie, wtedy można było się wykapać i pójść do pracy w suchym ubraniu. Byliśmy zawsze głodni i źli jak wilki. Ciągłe myślało się o chlebie, by najeść się do syta, chociaż przed śmiercią. Gdyby dawano nam trochę tłuszczu i mięsa to ilość otrzymywanego chleba byłaby wystarczająca. Podczas prowadzonych rozmów pomiędzy więźniami polskimi i rosyjskimi pytano nas „ile wy jedliście chleba, jak było w kraju?” Odpowiadaliśmy im, że chleba nie jadaliśmy więcej jak 200-300 gramów. No to głodowaliście? Nie głodowaliśmy, bo oprócz

chleba były inne produkty: kartofle, makarony, różne kasze, dobre kotlety, kołduny, kiełbasa, szynka itp. Z niedowierzaniem tego słuchali uważali, że ich okłamujemy. Tylko starzy „zeki”, którzy pamiętali jeszcze czasy carskie potwierdzili, mówiąc szeptem, że to prawda.

Po śmierci Stalina wszyscy odetchnęli. Zaczęto nam dawać chleba tyle ile kto zjadł. Po tygodniu byliśmy już syści i „zeki” oddawali chleb wolno-najomnym, bo oni musieli chleb kupować. Chleb dowożono, ale w małych ilościach, np. 100 bochenków. Kto w tym czasie nie pracował, mógł nabyć jeden bochenek, zaś kto był w pracy nie zakupił ani jednego. Chleb dokupić można było w stołówce, ale płacąc wysoką cenę. Później otrzymywaliśmy mniej chleba, ale go wystarczało

Po wyjściu z obozu po 10 latach odsiadki należało udać się na komisariat i zameldować. W komisariacie dawali różne dokumenty do podpisania, że nie wolno nic mówić o wykonywanej pracy w obozie, nie będzie łączności z „zekami”. Chcieli, bym podpisał, że jestem „grażdanin ZSRR”. Nie podpisałem, oznajmiając, że nie posiadam ich dowodu ani nie byłem „grażdaninem” państwa rosyjskiego. Na to NKWD mówi, teraz wyszedłeś z obozu i będziesz miał nasze obywatelstwo. Odpowiadam mu, że przebywając w więzieniu i obozie wy nie daliście mi tego obywatelstwa, nigdy go nie posiadałem i nie chcę go mieć. Zostałem aresztowany bezprawnie. Pozostali koledzy opuszczając obóz (także po 10 latach pobytu), dowiedzieli się o odmowie przeze mnie przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego, odmówili również podpisania ich obywatelstwa. Konsekwencją takiej odmowy było to, że codziennie musiałem meldować się na komisariacie.

Będąc jeszcze w obozie wraz kolegą przeczytaliśmy książkę, w której pisano, że za Piłsudskiego Polska była krajem burżuazyjnym i faszystowskim. Kolega się zdenerwował, napisał list do księgarni, która wypuściła tę książkę, że to czysta obłuda i nieprawda. Zamiast listu mówię do Witka (Uszkiewicz) włóż do koperty sprężynę, to jak otworzą ją to sprężyna uderzy w nos a tak to będą się naśmiewali się z nas, że „poigrali z polaczkami”. List nie został wysłany, lecz znaleziony. Kolega dostał za niego dodatkowo 10 lat odsiadki obozu, a ja, że się z nim przyjaźniłem 3 lata. Sędzia śledczy dodał, że jak mi zostanie pół roczku, roczek to ci dopiszemy kilka latek i tak tu „padochniesz”. Na to mu odpowiedziałem, jak „Bóg mnie nie opuści to świnię nie zjedzą”. Pomyślał chwilę i zaczął coś pisać. W czasie tej polemiki chciałem go uderzyć ciężkim taboret. Siedząc próbowałem go lekko podnieść, ale taboret ani drgnął, był przyśrubowany do podłogi. Z tego wynika, że byli

przygotowani do takich czynów z naszej strony. Przysłowie, które mu powiedziałem na pewno zapamiętał.

W marcu 1953 r. zmarł Stalin zmora wszystkich czasów. Obóz poweselał. Nawet NKWD-ziści zaczęli prześladować swych kolegów „stalinowców”. Mówili do nas „ot ten sobaka stalinowiec jutro będzie siedział z wami”. Tydzień wcześniej sam był taką „sobaką”. Zaczęto nas lepiej karmić, więcej „zek” otrzymywał chleba. Wszyscy, którzy otrzymali już w obozie wyroki do 5 lat objęci byli całkowitą amnestią. Mnie ona również dotyczyła i zrobiło się lżej na sercu. Ci, którzy mieli wyroki ponad 10 lat, zmniejszono im na skutek amnestii o połowę. Po 1956 r. i przyjeździe do Polski, osobom mającym jakieś jeszcze wyroki zasądzone w obozach darowano. Mnie po wyjściu z obozu za „dobre sprawowanie” i za to, że „tak mnie polubili” dali „wieczną zsyłkę” specjalnym ukazem z Moskwy – jednym słowem „honorowy obywatel póki nie padachniesz”.

Z kopalni węgla nr 2 w Incie (gdzie miałem bardzo dobrą opinię i szacunek od inżynierów, jako fachowiec) zostałem po prostu wypędzony na zieloną trawę, na pastwę losu przez śledowaciel NKWD (sędziowie). Gdyby taka sytuacja spotkała mnie zimą to nie przeżyłbym. U nich było tak, że jak wydalali z kopalni, to nigdzie nie przyjęto do pracy i ducha wyzionąłeś. Ponieważ miałem szacunek i dobrą opinię od inżynierów jako fachowiec to postarali się mnie ulokować w innej kopalni węgla w Incie nr 11/12 jako monter, w innych brygadach wykonywałem różne prace: montowałem maszyny, szyby kopalniane. Na specjalnych kursach zdobyłem zawód operatora maszynisty. Wkrótce pracowałem już jako maszynista-podjomnik. Otrzymałem do zamieszkania lepsze pomieszczenie. Po paru tygodniach nawet samodzielny pokój, w nowym budynku na 4 osoby (na I piętrze). Dobrałem sobie jeszcze 3 kolegów AKowców z Wileńszczyzny i zamieszkaliśmy w czwórkę. Sami sobie gotowaliśmy obiady, koszt ich był niższy jak w jadłodajni (byliśmy syci).

W pasie polarnym był dodatek 100% dla obywateli ZSRR tzw. stawka „siewierna”. Nam taka nie przysługiwała. Uzyskanie dodatku wymagało dodatkowego 10-letniego przepracowania. Ja dostałem „wieczną zsyłkę”, więc nigdy bym go nie otrzymał. Po wyjściu z obozu a takich było wielu, nasza sytuacja życiowa była bardzo dobra. Starczało na jedzenie, wykupienie butów i wojskoków. Zimą w wojskokach nogi owinięte w onuce i ubrane w skarpety miały ciepło, w butach jak był duży mróz nie. Warunki pracy były lepsze, woda już się nie lała za kołnierz jak w kopalniach, siedziałem w fotelu trzymając w rękach parę wycęgów, przy nogach awaryjny hamulec. Należało tylko ostrożnie manipulować tymi ręcznymi hamulcami. Sprzęt był

dobry: maszyny amerykańskie i kanadyjskie, liny angielskie. Musiałem, co tydzień zgłaszać się na komisariat, że nie uciekłem.

Będąc w obozie na kopalni nafty nr 3 w Uchcie zdarzały się ucieczki. Ucieczka z obozu była trudna, żadnych dróg, tylko linia kolejowa, jeden tor i dużo patroli kolejowych. Dookoła mokradła, tundra i tajga. Przy rzekach można było przechodzić. Co pewien odcinek znajdowały się bunkry w ziemi.

Pewnego razu czwórka naszych chłopców przeszła przez druty, ale ich zauważono. Dogonił ich patrol z psami. Dwóch zostało zabitych i poszarpanych przez psy, leżeli w bramie. Pozostałych dwóch jeszcze żywych zakrwawionych poszarpanych leżało obok nich. Ubrania całe zakrwawione. Brygady wychodzące do pracy i wracające z pracy musiały patrzeć na ten obraz. Stąd nikt nigdy nie uciekł. Jeżeli nastąpiła jakaś ucieczka więźniów, to natychmiast wysyłano patrole pościgowe z psami. Rezultat był podobny. Zdarzały się wypadki, że więźniowie idąc do pracy w teren, po porozumieniu się między sobą zniechęca napadali na konwojujących i zabijali żołnierzy. Wysyłani na pomoc żołnierze powybijali „zeków”.

W komisariacie ciągle straszono mnie, że jeśli nie podpiszę obywatelstwa to zostanę zwolniony z pracy i wysłany na leso-powal do piłowania drzewa w lasach. Warunki pracy były tam ciężkie. W zimie pracowano po pas w śniegu, a latem w błocie, w chmurach komarów. Bardzo uciążliwe były małe muszki (maszkara), przed którymi mając nawet zasłoniętą twarz siatką, nie można było się uchronić. Po ich ukąszeniu było się opuchniętym a nawet zdarzały się zgony.

Ponieważ policja mi dokuczała zgłosiłem się z tą sprawą do prokuratora i opowiedziałem „pani towarzysze”, że na siłę chcą mi dać ich obywatelstwo. Ja obywatelstwa rosyjskiego nigdy nie miałem i nie pragnę. Obywatelstwa może pozbawić mnie moje państwo, jeżeli dopuszczę się przestępstwa wobec własnej ojczyzny, pragnę powrócić do kraju jako polski obywatel. Nastąpił okres wypuszczania z obozu więźniów Japończyków, Niemców, Węgrów i innych. Po wysłuchaniu mojej skargi „pani prokurator” powiedziała, że jest ona słuszna, proszę iść i więcej nie będą mi dokuczać. Od tego momentu meldowałem się tylko raz w miesiącu i nigdy już nie wciskali swego obywatelstwa.

29 listopada 1955 powiadomiono nas w kopalni, że wyjazd do Polski nastąpi 1 grudnia. Wiadomość była taka niespodziewana, pozostał nam jeden dzień na rozliczenie się z kopalnią i pobranie pieniędzy by być przygotowanym do drogi.

Pracowaliśmy w różnych kopalniach, powstały wątpliwości czy wszyscy wyjeżdżamy. Były propozycje pozostania tam, że lepiej będą nas traktować. Inni

mówili, że po rocznym tam pobycie mogą nas ponownie o coś oskarżyć na 10 lat i będziemy darmowymi robotnikami. Przyjechał pociąg z Workuty z naszymi chłopcami, inny z Inty. Potem droga wiodła przez Uchtę, Wołogdę, Moskwę, Kijów i Lwów. Po przekroczeniu starej granicy zaśpiewaliśmy rotę i hymn narodowy. Punkt repatriacyjny znajdował się w Nowym Sączu i tu skończyła się wędrówka z ZSRR. Komsomołki chciały się pożegnać z polską młodzieżą, ale bojcy – żołnierze sowieccy nie pozwolili, zabierając je do siebie. Chciały one przejść na polską stronę.

W wigilię Bożego Narodzenia dojechałem do Piły, przyszedłem do mieszkania moich rodziców. Przywitałem się z rodzicami i synem, który już miał 15 lat. Nie spodziewałem się, że u rodziców jest żona (wróciła z obozu). Przyjechała tydzień wcześniej aż z Kołymy - Magadańskiej z nad morza Ochockiego. Przebywając w obozach nie można było prowadzić korespondencji. Dopiero po wyjściu z obozu pozwolono na jej prowadzenie. Władze nasze odszukały nasze adresy. Napisałem żonie, jest nadzieja, że spotkamy się w ojczyźnie.

Żona opowiedziała mi swoją gehennę. Z więzienia na Łukiszkach wywieziono ją aż do Komi ASSR. Następnie kobiety przewieziono m.in. nad jezioro Bajkał. Dalsza droga wiodła do Władywostoku. Tam wsadzono je na okręt, który wypłynął na morze Ochockie. Dotarły do Kołymy miasta Magadan. Tam przebywała 10 lat wykonując różne prace. Na laso-powalach piłowała las, wznosiła budynki z cegły i betonu, w cegielni wypalała cegły (stała się specem w tej branży). Później zachorowała, po chorobie zatrudniono ją w szpitalu. Będąc w szeregach AK była też łączniczką i siostrą. W czasie bitwy o Wilno zbierano z pola walki zabitych na Belmoncie, przewożono chłopców z AK na Kolonię Kolejową k/Wilna. Po tej akcji zaczęła być łączniczką w wywiadzie dalekiego zasięgu. Dostarczała również broń chłopcom, którzy byli w konspiracji w terenie. Niosąc w Wilnie broń spotkała z oddziału „Nałęcz” 2 żołnierzy z AK, którzy ją zdradzili. Okazało się, że współpracowali NKWD. Za swoje donosicielstwo do NKWD zostali przez swoich kolegów AK-owców rozstrzelani.

Wykonując różne ciężkie roboty udało jej się na koniec zyskić być sanitariuszką w szpitalu.

Więźniów różnych narodowości odsyłano do rodzinnych krajów. Powrót żony do ojczyzny trwał cały miesiąc. Była dzielnym żołnierzem AK, podobnie jak nasze babki, matki i siostry m.in. Emilia Plater biorąca udział w powstaniu styczniowym, powstaniu warszawskim jak Helena Piasecka i inne.

Po przyjeździe do Polski znalazłem przypadkowo pracę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika na stanowisku mistrz-brygadzysta. Dokumentów potwierdzających moje kwalifikacje nie miałem, ale mogłem wykonywać prace, których umiejętności nabyłem jeszcze przed wojną, jak i będąc w obozie. Uzyskałem dwa dyplomy: jako mistrz mechanik i na instalacje sanitarno-gazowe. Przepracowałem 25 lat, mając 60 lat przeszedłem na emeryturę. Syn wyjechał do Szczecina, tam pracował i tam się ożenił.

Żona po powrocie z obozu dwa lata chorowała na serce. Po poprawieniu się jej stanu zdrowia podjęła również pracę na UMK, jako laborantka na wydziale geografii. Po ukończeniu 60 lat również przeszła na emeryturę.

Należeliśmy do Solidarności i należymy do Światowego Związku Żołnierzy AK – jako żołnierze kresowi z Wilna.

Odwiedziłem kilka razy Wilno, miasto wciąż uroczne, pełne wspomnień, czaru i tęsknoty.

Żołnierze Kresowi

„Baśka” – 1939 – 1944 – „Grunwald”

„Sybiracy”

1944 – 1956

/D/ - 0789

Stanisława Chodyko

por. WP – AK

F(G) - 27

Stefan Chodyko

por. WP - AK



J. 931/4SK

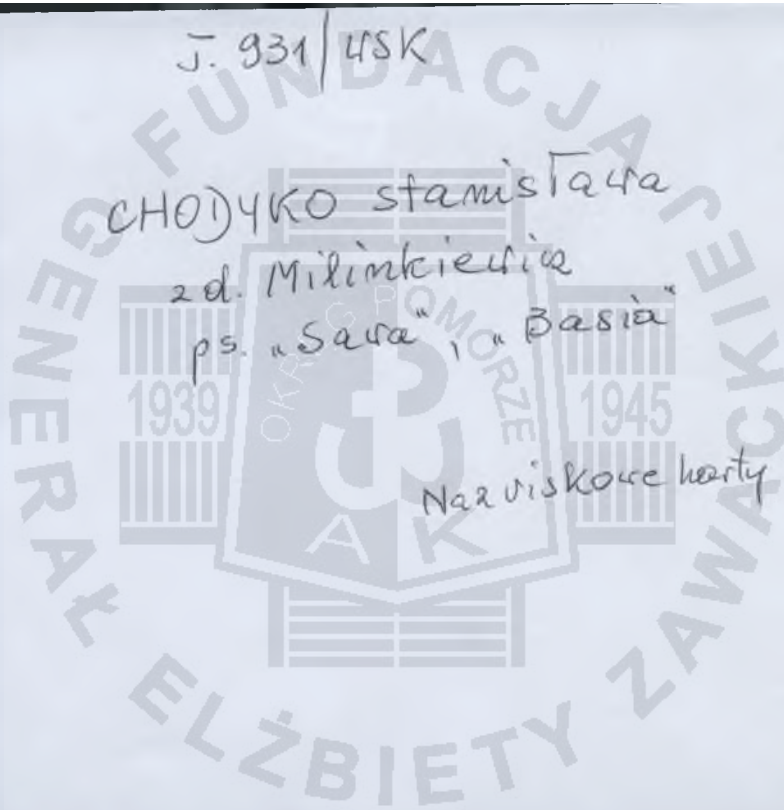
242-AK
Wilno
4 igiz. Sybir

CHOJYKO Stanisława

zd. Milinkiewicza

ps. "Sara" i "Basia"

Nazwiskowe karty inf. 3.



i

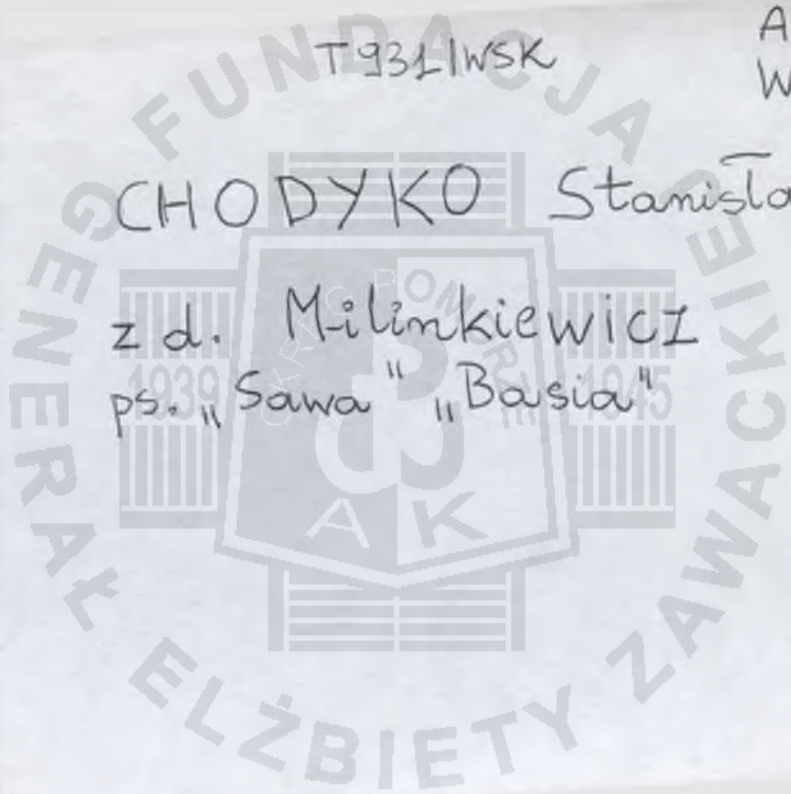
T 931 I WSK

AK
Wilno

CHODYKO Stanisława

z d. Milimkiewicz
ps. "Sawa" "Basia"

TCH 98



i

A. K.
Wilno

CHODYKO staniawa
z d. Miłomkiewicz
„Baśka” „Sowa”

kaźnia i sanitarna 1 Pułku Pancernego
w B. Chrobrego, dowodzonego przez kpt. i st. Dzia-
magi-Dziatyskiego

zab. kaźni w Okr. Wil.-Nowog. AK
pod red. S. Malinowskiego Bydgoszcz 2001
str 398

3. Tytuł 2002

T. 937/WSK

ZWZ-AK
Wilno

CHODYKO Stanisława

z d. Milinkiewicz
ps. "Sawa", "Borsia"

Od 01.09.1939 należała do SZP, w 12.1939 wstąpiła
do ZWZ, a od 1942 była w szeregu AK Wilno.
-środmieście - 1 pułk pancerny im. Bolesława Chrobrego
I batalion 2 komp. Juliusz Łacynowiczka.

Od 1943 (marzec) należała do oddziału partyzanckiego
pod dowództwem rtm. Józefa Daszyńskiego do Juliusza
Łacynowicza i Łacynowiczka. Obmacrona
Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami
24.10.1944 aresztowana przez NKWD i wywieziona do
Komi RSP - Kołyma. Uwolniona do kraju. zm. 31.07.2006 w Szczecinie

opr. Tch



AK
Wilno

10x10

CHODYKO Stanisława

~~z~~ Milinkiewicz
ps. "Sawa" "Basia"

931/WSK
111

CHODYKO Stanisław



CHODYKO Stenżiase

